ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 10

WARSZAWA
DNIA 9 MARCA 1913 R.

TRAGEDJA ŻEROMSKIEGO.

(Z powodu „Wiernej Rzeki").

(Dokończenie)

Reymont, będacy niemal cały w oku, oparł się na krajobrazie i najlepsze jego dzieła niczem innem nie są, tylko krajobrazem, na którym między innemi zjawia się i człowiek, chłop, przedewszystkiem jako fenomen natury. Podobną, w stosunku do górali tatrzańskich, rolę odegrał Tetmajer, który zresztą jako liryk trwa we wiecznie tym samym i wiecznie nowym świecie ludzkich uczuć. Przybyszewski miał jeden tylko, ale bogaty, kosmiczny motyw: *sexus*; wyczerpał się jednak rychło i od wielu lat już tylko powtarza sam siebie. Kasprowicz, zamilkł jako poeta oryginalny i głównie tłumaczy; Berent, rzekłbyś tkwi w samem sercu rozkładu jaźni swego pokolenia, a Wyspiański, zawsze czujny żóraw konieczności swego ducha, który w tem pokoleniu najumiejętniej tworzył symbole jego męczarni, umarł, rzec można, w czasie najwłaściwszym dla swego genjuszu, który w jego pośmiertnym tomie już się zdaje nieco nadwątlony.

Tak się rozwiała Legenda Młodej Polski; tak powoli życie uczyniło pogrom talentów; tak wszyscy z kolei ulegli potędze zewnętrznego chaosu i niedorzeczności naszego życia.

Żeromski nie wyczerpał się bynajmniej, Żeromski coraz nowe i coraz bardziej skondensowane daje obrazy: ale dlatego właśnie, że talent jego jest najbardziej wszechstronny, że jest artystyczny jak Miriam, pogrążony w idei czynu jak Brzozowski, że krajobraz odczuwa jak Reymont, że jest przenikniony wizją erotyzmu jak Przybyszewski, że wreszcie przed jego okiem wiecznie promienieje Mater Dolorosa, jak przed okiem Wyspiańskiego; właśnie dlatego talent jego daleko potężniejszym ulega ciosom dantejskiego piekła naszego życia, niż jakikolwiek inny.

Jak cała ta literatura lat 1885 — 1905, tak i twórczość Żeromskiego dała rezultaty mniejsze, niż powinna była dać narodowi. Mało który z pisarzy umiał sobie stworzyć taką ekonomię i taką hygienę talentu, aby go wyzyskać w całości, aby go w całości objawić i w całości się wypowiedzieć. Cała ta literatura najmłodszego okresu robi na mnie wrażenie rozsypanej skrzyni drogich kamieni, które gdzieś poginęły po drodze, gdzieś potonęły w wodach, popękały na szczęty albo promienny blask zatraciły.

Najmniej tego daru ekonomji posiadał Żeromski. Najpiękniejsze jego dzieła — Popioły, Ludzie Bezdomni i t. d. to obrazy potężnych załamań duszy autora. On, który jak soczewka odbija w sobie wszystkie tragedje życia narodowego, w przedziwnej wrażliwości na wszystkie grozy naszej rzeczywistości, sam się załamuje nieustannie i każdy jego wielki utwór, w szczegółach doskonały, w całości, w architekturze jest załamany, jak zranione i broczące krwią serce poety.

Ta tragedja w powieści — to istotna tragedja Żeromskiego. Jak od łuny gorejącej, tak w popioły się sypie to serce bezdomne, spragnione urody życia, zapatrzone w mogiłę, oczekujące promienia, co z poza szumu ech leśnych—przegląda się w wiernej rzece. Jest daleka wielka sprawa, niby duma o hetmanie, która wzywa ku sobie duchy tęskniące i gorzkie, ale która wie, że pomiędzy nią a nami stoją groźne dzieje grzechu.

Rwanie się nieustanne tej przędzy, która ma się rozwinąć w cudowny obraz spotkania Penelopy z Odyseuszem, porwało też włókna tych marzeń artystycznych, jakiemi się kołysało pokolenie naszych pisarzy przez cały okres aż po r. 1905. Przewrót tego roku jeszcze potężniej wpłynął na szarpaninę tych dusz twórczych, które może już do przeszłości należą. Co przyszłość da—niewiadomo: załamał się nastrój dusz z poprzedniego okresu literatury, a nowy jeszcze nie powstał, a jeżeli rodzą się jakie prądy w życiu naszem dzisiejszem, to są one przedewszystkiem antiliterackie i anti-artystyczne.

Z dnia na dzień zaplot zdarzeń dziejowych jest coraz bardziej powikłany; tymczasem my oddajemy się formułom najprostszym i będącym poza wszelką ideologją.

Na tle takiego przeciwieństwa: wielkości chwili dziejowej i małości naszych dążeń, nie może powstać rzeczywiste piękno. A jednak talent prawdziwy, choć poraniony od tych wszystkich sprzeczności, załamań, zwężeń ducha ogólnego i t. d. szuka drogi własnej, drogi nowej.

Wierna Rzeka, bez względu na treść, jest nowym etapem twórczości Żeromskiego. W niej, pod względem budowy, autor przewyższył swój dawniejszy brak spójności: stworzył dzieło zamknięte i całkowite.

Jakkolwiek, jest to raczej nowela niż powieść, to jednak, rzekłbym, w niej się może właśnie kończy tragedja Żeromskiego, tragedja niezwartości, rozsypania jego utworów. Tu mamy rzecz zwartą. Ponieważ Żeromskiego można uważać za barometr duszy społecznej, pozwolę sobie razem przypuścić, że jest to razem zapowiedź nieświadoma, jakoby się miała zakończyć tragedja naszego życia ogólnego.

Antoni Lange.

BURSY.

(Dokończenie).

Oto, co pisze dr. W. Lewicki w „Odrodzeniu“, organie współdzielczości w Galicji.

„Zdajemy sobie sprawę, że przemiana naszego kraju na przemysłowy i rozwój rolnictwa, jego wydajność jest nietylko sprawą gospodarczą, ale i kwestją społeczną. Każde zaniedbanie na tem polu, musi się zemścić, zadanie to musimy spełnić pod grozą zniszczenia i wyludnienia. Intensywne gospodarstwo, wysoka hodowla, szerokie używanie maszyn i t. p., powiększanie wiedzy rolniczej we wszystkich warstwach rolniczych, tak na wielkim jak średnim i małym warsztacie rolnym, jest koniecznością, więc trzeba skierować chłopa nie do szkół gimnazjalnych ale do szkoł rolniczych, zaprzestać tworzenia fabryki urzędników politycznych, sądowych i skarbowych, fabryki półinteligencji, która wychodzi na podurzędników i funkcjonarjuszy podatkowych“.

Zupełnie odmienne stosunki wytworzyły się w Królestwie. Rozwojowi oświaty w Galicji możemy przeciwstawić pracę naszą w tym kierunku zaledwie zapoczątkowaną od kilku lat, z powodu przeszkód zewnętrznych, niesystematycznie prowadzoną i w jedną całość niezorganizowaną.



Bursa Grunwaldzka Tow. Szk. Lud. we Lwowie.

Galicja cierpieć już zaczyna na hyperprodukcję inteligencji wyszłej z łona ludu — u nas zaś to pole leży zupełnie odłogiem i tysiące oczywiście uzdolnionych jednostek marnuje się w zupełnej ciemnocie. Znane ogólnie są nasze braki w zakresie szkoły elementarnej a możnaby przystosować przypowieść z pisma świętego o wielbłądzie i o uchu igielnem do włościańskiego syna, któryby zapragnął królestwa wyższej oświaty.

Na 12 miljonową blizko ludność Królestwa a na 7 miljonów włościan, w Warszawie mamy zaledwie kilka instytucji, nazwanych bursami z taniem utrzymaniem i jakąkolwiek opieką wychowawczą. Jedną na 12 chłopców przy szkole W. Górskiego, drugą stworzoną prywatnymi funduszami p. Certowiczówny, trzecią przy szkole Jaczynowskiego, czwartą zaś założono usiłowaniem naszego ziemiaństwa dla pracowników rolnych vel oficjalistów, w celu ułatwienia im kształcenia dzieci,—i ta jednak także mieści się w wynajętym lokalu i przyjąć może tylko około 30 wychowańców.

Nie omylimy się o wiele, gdy powiemy, że miljonowa Warszawa znalazła środki na tanie po-

mieszczenie zaledwie dla kilkudziesięciu chłopskich synów—miasta prowincjonalne dotąd o tem nie pomyślały. Biologicznie jest stwierdzone, że wielkie, arystokratyczne rody wyradzają się nieraz fizycznie i moralnie — zrozumiała to najsilniejsza dotąd i najżywotniejsza arystokracja angielska, łącząc się z potomkami sfer pracujących fizycznie — to samo powiedzieć można o sferze wielkomiejskiej, z której przeważnie rekrutuje się nasza inteligencja; słabnie ona i wyrodnieje o ile nie jest zasilana przez elementy świeże, nie zużyte jeszcze wpływami nowożytnej kultury i nie zdenerwowane gorączkową walką o byt.

Chorujemy wprost na brak napływu ludzi o żywej energji, o twórczych, żywotnych pierwiastkach a sprawa ułatwienia im oświaty jest ciągle odsuwana na plan dalszy i całe dążenie w tym kierunku ogranicza się do przygarnięcia kilkudziesięciu jednostek i to jeszcze zebranych przypadkowo — nie koniecznie najzdolniejszych.

W krajach o wysokiej kulturze, jak Anglji, Danji i Czechach, przy szkołach elementarnych są komisje, kwalifikujące jednostki zdolne do dalszego kształcenia się, bądź teoretycznie, bądź praktycznie, fachowo — i tym w dalszym ciągu pomaga państwo lub społeczeństwo.

Za to do rozwoju gospodarczego dojść będziemy mogli znacznie szybciej niż Galicja — i kto wie, czy narazie smutna skądinąd sprawa szkolna, nie jest dla naszych stosunków ekonomicznych korzystna. Łatwość zdobycia nauki średniej i wyższej nie odciąga na szczęście tylu włościan od zagona, jak się to stało w Galicji — inicjatywa zaś społeczna, samorzutnie prawie stworzyła sobie doskonały typ jednorocznych kursów gospodarczych tak dla chłopców, jak dla dziewcząt — kółka rolnicze krzewią dalszą oświatę fachową i poziom wiedzy gospodarczej a z nią intensywniejsza uprawa roli i hodowla podnosi się z każdym rokiem.

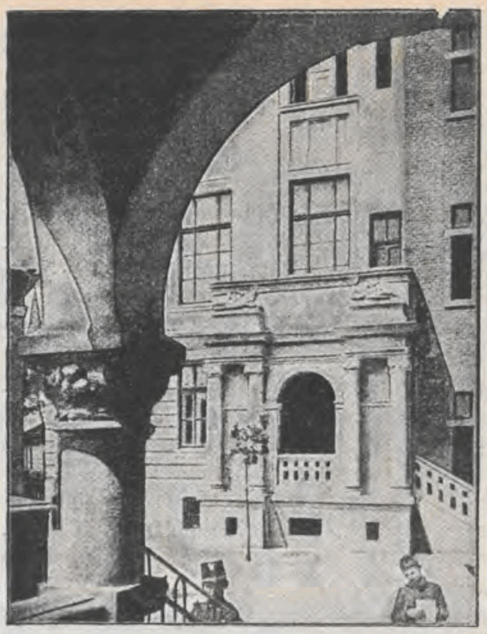
Żaden naród, w szerokich masach swoich, nie może jednak długo wytrwać w fazie elementarnego wykształcenia, choćby nawet i połączonego z odpowiedniem wyszkoleniem fachowem; zamożniejsi i lepiej zagospodarowani włościanie, uzdolnieni rzemieślnicy a nawet i sfery inteligencji, zapragnąć muszą takich zakładów wychowawczych po miastach, któreby w odpowiednio urządzonych internatach, opiekowały się młodzieżą do szkół uczęszczającą.

Potrzeba znacznej ilości burs po miastach z opłatą większą i mniejszą dla rozmaitego stopnia zamożności, jest obecnie a będzie w przyszłości coraz więcej palącą.

Dziś t. zw. stancje urągają wszelkim pojęciom pedagogicznym, pomimo że są drogo płatne a przeznaczone dla zamożnej sfery ziemiańskiej — cóż dopiero mówić o norach, w których mieszkają synowie chłopscy z uporem o chłodzie i głodzie dążący do szerszej wiedzy.

Porównajmy je z szeroko pojętem prowadzeniem instytucji bursy Grunwaldzkiej we Lwowie lub choćby ze wspaniałym gmachem w Tarnopolu.

I. W. Kosmowska.



Malowniczy fragment architektoniczny w dziedzińcu domu Tow. Szk. Lud. w Tarnopolu.

Z dziejów przemysłu w Polsce.

Utarło się powszechne mniemanie, że Polska nie posiadała zgoła przemysłu i że jest on nabytkiem stosunkowo świeżym, przeszczepionym na nasz grunt przez żywioły obce.

Jest w tem pewna słuszność, ale odrazu musi być zrobione zastrzeżenie, iż wielkiego przemysłu w teraźniejszem tego słowa znaczeniu nie możemy szukać za czasów istnienia niepodległej Polski, gdyż nigdzie na świecie nie rozwinął się on był jeszcze.

Anglja w końcu XVIII wieku miała już przemysł potężny, to prawda, ale połowa ludności jej żyła jeszcze z rolnictwa. Francja posiadała wielkie manufaktury, lecz całoroczna produkcja jej nie dorównywała bodaj obecnej wytwórczości jednego okręgu przemysłowego. O przemyśle niemieckim mówić nawet trudno, gdyż stał się on wielkim dopiero w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat, gdy zasiliły go miljardy kontrybucji wojennej francuskiej za rok 1871.

Trudno więc byłoby szukać w Polsce w końcu XVIII stulecia wielkiego przemysłu.

Wytwórczość owoczesna, posiłkująca się jeszcze pracą ręczną, może się nam wydawać niepoczesną, ale trzeba brać pod uwagę i ludność mniej liczną i trudność komunikacji. Przytem wiek XIX przyzwyczaił nas do szukania głównych ognisk działalności przemysłowej w miastach, w nich bowiem kupią się warsztaty rzemieślników i fabryki, a przynajmniej założyciele, posiadacze i kierownicy zakładów przemysłowych.

Polska XVIII wieku przedstawia obraz zupełnie odmienny: zakłady przemysłowe rozrzucone są po całym kraju. Okoliczność ta utrud-

nia wielce zebranie szczegółowych danych o stanie ówczesnej wytwórczości.

Polskie miasta znajdowały się w połowie zaprzeszłego stulecia w zupełnym upadku, to też początek panowania Stanisława Augusta przedstawia nam pierwsze próby i nieśmiałe kroki, stawiane na polu uprzemysłowienia kraju, potem zaś, raz powziętym zamachem, w miarę rozwoju uświadomienia narodu, przemysł podnosi się i stopniowo, etapami, przechodzi do dzisiejszego rozkwitu.

Jednem z pierwszych dzieł panowania Stanisława Augusta była „Kompanja manufaktur wełnianych", zawiązana 11 kwietnia 1766 r. i aprobowana przez króla w pięć dni później na następujących podstawach:

1) fundusz składać się miał z 43,200 czerwonych złotych, podzielonych na 120 akcji,

2) każdy „towarzysz" mógł posiadać najwyżej 5 akcji,

3) do rady zarządzającej miało być wybieranych 12 ludzi, w tem obowiązkowo 4 kupców,

4) sprzedaż z fabryki mogła być tylko hurtowna.

Ustawę podpisało kilkudziesięciu dygnitarzy polskich, a prezesem został kanclerz koronny Andrzej Zamoyski. Narazie wypuszczono kwity tymczasowe, a dn. 23 czerwca 1768 r. wydano akcje.

Były to pierwsze zapewne w Polsce publiczne papiery procentowe.

Akcje nie odznaczały się ozdobnością układu. Autentyczność dokumentu stwierdzały jedynie ręczne podpisy członków zarządu i przystawanie przeciętego napisu akcji do talonu, pozostałego w księdze.

Badanie szczegółowe rozwoju przemysłu polskiego w owej epoce zabrałoby zbyt wiele miejsca i czasu, z konieczności zatem ograniczyć się musimy do ogólnych cyfr. Przemysł tkacki musiał się z natury rzeczy rozwijać, a choć ci i owi pisarze narzekają na konieczność sprowadzania tkanin zagranicznych, konieczność ta była urojona.

Wyroby bawełniane produkowało 5 fabryk, z tych największe—wspomniana już akcyjna fabryka w Golędzinowie i zakłady w Żarkach. 41 fabryk wyrabiało tkaniny wełniane. Nie o wszystkich zakładach posiadamy dane, niektóre liczby mówią jednak same za siebie. W takim Rawiczu (w Poznańskiem) istniało 200 warsztatów tkacko-sukienniczych, wyrabiających 14 tysięcy postawów sukna rocznie. Do Rosji wywożono stamtąd sukna na 800,000 zł. pol. Len przerabiało 8 fabryk, a jedwab—10.

W dziale przetworów roślinnych pierwsze miejsce zajęły papiernie. Istniało ich 18, z tych jedna, założona w 1778 r. przez Tyssa w Jeziornie przetrwała do naszych czasów. Wiemy coś nie coś o 13 garbarniach. Największa, założona w 1764 r. przez Cadra, jest obecnie własnością firmy „Temler i Szwede".

Najokazalej przedstawiał się przemysł kopalno-hutniczy. Istniało wówczas 18 kopalni i hut, a pracowały w nich 43 wielkie piece. Niektóre zakłady przetrwały do dziś, lub też za naszej pamięci przestały istnieć.

Huty—Końskie, Samsonów, Stąporków, Suchedniów, Wąchock, Kunów — wszystkie z własnemi kopalniami rudy.

Kopalnie węgla kamiennego w Sielcach i na Pogoni.

Wszystkie te firmy znamy nietylko z tradycji. Sól kopano w Wieliczce i Bochni, a wywarzano ją z wody w Ciechocinku, Busku i Solcu. Glinę garncarską znajdowano potrosze wszędzie, ale zasłynęły już wówczas korecka fabryka porcelany i Ćmielów.

Do zakładów przemysłowych można też zaliczyć drukarnie, a było ich w końcu XVIII-go wieku na ziemiach polskich 32.

Oprócz opisanej uprzednio fabryki akcyjnej znajdujemy wówczas jeszcze cztery inne towarzystwa akcyjne: dwie fabryki tabaczne, warzelnię soli w Busku i fabrykę kapeluszy. Powstawanie i rozwój przedsiębiorstw udziałowych wykazuje zainteresowanie się społeczeństwa sprawami przemysłu, większość jednak fabryk zakładana i prowadzona była przez rodową arystokrację polską.

Na liście ówczesnych „przemysłowców" widzimy nazwiska: Zamoyskich, Potockich, ks. Radziwiłłów, Tyzenhauzów, Poniatowskich, ks. Czartoryskich i wielu innych. Mieszczaństwo z czasem dopiero wzięło gorętszy udział w rozwoju przemysłu.

Jaka była wartość materjalna produkcji ówczesnych fabryk, na to trudno dać ścisłą odpowiedź, bo jakkolwiek posiadamy dość obfite dane o 300 zakładach, ogółu przedsiębiorstw objąć nie sposób, wszelkie więc wyliczenia byłyby dowolne.

W każdym razie przemysł polski stał dość wysoko i słusznie może być uważany za przodka teraźniejszych kolosów fabrycznych.

M. W. Rudnicki.

OD REDAKCJI.

W dniu 15-ym marca r. b. odbędzie się w lokalu naszej redakcji, Królewska 27, przyznanie szczęśliwym wybrańcom losu z pośród naszych **półrocznych** i **rocznych** prenumeratorów, artystycznego premjum za luty r. b., na które składają się następujące obrazy:

1) **Jadwigi Łuczyńskiej** — „Martwa natura". 3) **Jana Olszewskiego** — „Jastrząb".

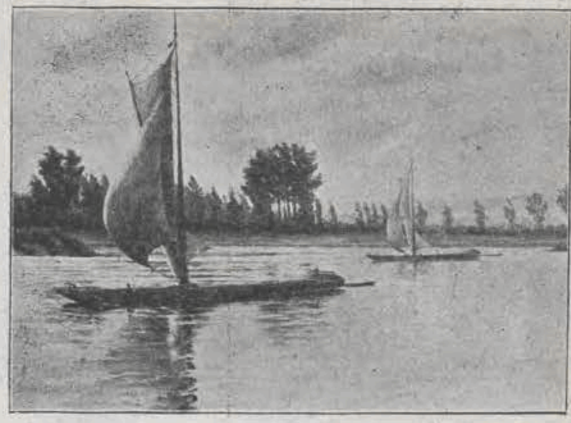
5) **F. Szewczyka** — „Utarczka z bandytami". 4) **Strubla** — „Stogi w zimie".

Uwaga. Prenumeratorowie, których załatwiają księgarnie a nie nasza administracja bezpośrednio, pragnąc uczestniczyć w losowaniu, winni przed terminem, za pośrednictwem odnośnych księgarń, ujawnić swoje nazwiska i adresy.

Pierwsza wystawa „Niezależnych".



H. Sarjusz-Bielski. (W. N.) Młodość.



M. Pyczowa. (W. N.) Z wiatrem.



B. Popławski. (W. N.) Szary dzień.



M. Wasilkowska. (W. N.) Portret.

Kilka pierwszorzędnych nazwisk, jakie na wystawie spotykamy, dowodzą, że nawet nasi „uznani" pokusili się o laury w nieoficjalnym „Salonie". Axentowicz wystawił „Moją córkę", przesubtelną, gdy chodzi o nieuchwytny ton, Alchimowicz—pejzaż nad wodą. „Pastuch" Vlastimila Hofmana wprost olśniewa bogactwem słonecznego kolorytu, „Kokietka" Alfonsa Karpińskiego ma dużo perwersji w zmęczonych nadużyciem oczach. Piekarski i Piotrowski, zawsze sumienni, dali poważne prace, natomiast „Beatrice" Stachiewicza — to niemal złota epoka jego twórczości. Wrzeszcz, Wawrzeniecki, Nałęcz, Wodzinowski i Cieślewski stanęli na wysokości zadania, urozmaicając ciekawą wystawę.

Ale wszyscy ci artyści, z wyjątkiem może Wawrzenieckiego, znaleźli się tu właściwie dla swych nazwisk, które im wszędzie drogę otwierają. Fizjonomja ich działalności jest aż nadto „zależna" i „oficjalna", przy całym talencie. Dlatego też żadna z prac naszych „uznanych" nie bojkotuje starych haseł, owszem, wszyscy oni apoteozują spokojny, akademicki kierunek, słowem „niezależność" ich ma tylko wartości fikcyjne.

Natomiast są na wystawie czterej młodzi artyści, szczerze spokrewnieni z duchową ideą „Salon des Independants", który w Paryżu pierwszy zapoczątkował niepodległą sztukę. Nazwiska ich: Gardowski, Centnerszwerowa, Kozłowski i Trzaska.

Dziesięć portretowych masek Ludwika Gardowskiego dowodzi, że artysta „umie" malować. Ale jego „Fryne", — to już doskonały eksperyment kolorystyczny, wybornie ustosunkowany w walorach, ciekawy przez technikę wycinankową i mimo swą prymitywność mocno rysowany. Rzecz pomyślana oryginalnie, zapewnie, że w stosunku do akademickiego mistrzowstwa naszych „znakomitych" dzika, ale naprawdę „niezależna".

Stanisławowa Rejcher-Centnerszwerowa, której portrety widziałem niedawno w Paryżu, ma wszystkie zalety „niezależnej" artystki. Maluje tęgo, dużo potrafi, jej rysunek rzadko zawodzi, słowem silny wpływ modernizmu francuskiego tryumfuje. Pewna degeneracja ujmowania tematu czyni rzeczy interesującemi, specyficzna technika nadaje pracom pozory dzi-



W. Chorembalski. (W. N.) Portret.



S. Pruszyński. Turysta z Ojcowa. (W. N.)



A. Veith. (W. N.) Kwiaciarka.

wacznych gobelinów. Wogóle nieprzeciętne płótna.

Stanisław Jerzy Kozłowski wystawił trzy obrazy, może najbardziej nie kłaniające się odwiecznym kanonom oficjalnej sztuki. Jego tryptyk „Na nieznanej planecie“ świeci zagadkowym kolorytem dalekich gwiazd, gdzie kwitną purpurowe drzewa i rządzą skrzydlate istoty. Fantazja, wybiegająca ponad wszelkie programy i hasła. Druga praca artysty „Rywale“, jest tragedją maleńkiego pierrota, wijącego się w krwawych łapach olbrzymiego murzyna. Wreszcie „Spacer“, takiż pierrot, tylko mniej idealny z dziewczynką, wśród pól. Zaiste, miraż zaświatów, zrodzony intuicją specyficznego talentu i bogatej wyobraźni.

Jan Trzaska jest „niezależnym realistą“. Interesuje go najbardziej oświetlenie, dlatego też „Apasz“ dominuje przed innemi jego pracami. To mocny, z zadatkami na przyszłość, talent.

A teraz bardzo ciekawe karykatury Zygmunta Nirnsztejna. Tłumy z zadowoleniem poznają sylwety Kaz. Kamińskiego, St. Krzywoszewskiego (z tułowiem Rusałki), Dyr. Lentza i Mary Mrozińską, doskonałą w tonie. Poważne studjum tegoż artysty, głowa więźnia, dowodzi o jego wszechstronnym talencie.

Więc chyba jeszcze Zalewski, Messyng, Holler i wiele obiecująca Lucyna Kasztelanic zasługują na poklask. Nie można też przemilczeć rzeźb: Stef. Pillatiego, Józefa Gabowicza, Czesława Makowskiego i Rafaeli Nirnsztejn.

Ars.



Stano Paradowska. (T. Z. S. P.) Portret p. M.

Od Administracji.

Przypominamy, że czas już odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

OD REDAKCJI.

Jako zbyteczny, skasowaliśmy telefon 226-83, bowiem ze względów wygody, drugi telefon o łatwiejszych cyfrach 152-05 przerobiliśmy obecnie w ten sposób że otrzymał komunikację z gabinetami redakcji, oddziałem fotograficznym, wydziałem prenumeraty i ogłoszeń, ekspedycją i rachubą. Prosimy więc telefonować od dziś, tylko pod numer: **152-05**. Telefon ten w nowej książce abonentów, która wyjdzie w maju, będzie już figurował w właściwych rubrykach spisu.



St. Paradowska. Bajka o szmaragdzie (I).



St. Paradowska. Bajka o szmaragdzie (II).

Z TOW. ZACHĘTY SZT. PIĘKN.

Wystawa obrazów Stano-Paradowskiej.

Pisząc o świeżo wystawionych w „Zachęcie“ obrazach p. Stano-Paradowskiej, choć nie zupełnie zgadzam się z reminiscencjami i założeniami artystki, muszę przyznać jej, mimo wszystko, reść. Zapewne ...istnienie tematu w obrazie niejednokrotnie nadaje jego twórcy miano literata, czego rdzenne malarstwo nie znosi. P. Paradowska wszelako nie jest literatką, przynajmniej nie zawsze.



Stano Paradowska.
(Zbiorowa wystawa prac).

Nie mając jeszcze szkoły, wogóle słabsza w rysunku, niż koncepcji, potrafi obronną ręką wychodzić z najkarkołomniejszych powikłań. Taki n. p. „Amor w kawiarni“, gdyby nie „coś“, mógłby wprost zniechęcić ludzi do symboliki, a jednak to „coś“ zastanawia i czyni obraz ciekawym. To już specjalna kobieca wrażliwość, dziwna cecha twórczego intelektu, zdolna rodzić genjalne słabizny, czy słabe arcydzieła. To nieuchwytne światło specyficznej iskry talentu.

Bo, mimo wszystko, p. Paradowska ma talent. Dla mnie obrazy jej są jakgdyby szeregiem zastanawiań się artystki nad tajemnicą bytu. Treść ich rozmaita, wielobarwna, oprawiona nieraz w nieco kulejącą formę, pociąga jednak. Słyszy się zdania! „Ach, jak źle namalowana ręka“... „Jaki wadliwy rysunek głębi“... A z boku ktoś dodaje: „Zastanawia mnie „Miasto“, jakieś dziwne pełne w swych nocnych światłach...“ „Patrz, ten szatan, żyje,—wzgardliwy“. „Ulica“, „Bajka o szmaragdzie“, „W poczekalni“, „Jesień“ i „Portret p. M.“, to prócz wyżej wymienionych, najlepsze dzieła p. Paradowskiej. Zawierają najwięcej wewnętrznego niepokoju i młodości. Jest w nich coś poza miarę opracowanych modeli i akcesorjów. Powtarzam: te nie zawsze udatnie rysowane i malowane rzeczy budzą w widzach myśl i momenty głębszej refleksji.

P. Paradowska należy bądź co bądź do tych organizacji artystycznych od których wielu niespodzianek możemy się spodziewać w przyszłości. Jakie wrażenie wywrą... czas pokaże.

St. J. Kozłowski.



St. Paradowska. Bajka o szmaragdzie (III).



St. Paradowska. Bajka o szmaragdzie (IV).

Z FILHARMONJI.

Koncert benefisowy Józefa Ozimińskiego zgromadził wielbicieli talentu tego wielce uzdolnionego artysty-skrzypka i członka orkiestry filharmonicznej, a także jej drugiego dyrektora.



Józef Ozimiński.
(Koncert benefisowy w Filharmonji).

Ukazaniu się p. Ozimińskiego na estradzie, towarzyszyła szumna fanfara, którą na cześć kolegi wykonała orkiestra, publiczność zaś witała swego ulubieńca rzęsistymi oklaskami. Następnie, szczerze wzruszony benefisant, odegrał przy akompjamencie orkiestry „Symfonję hiszpańską“ E. Lalo, po ukończeniu której zaczęła się owacja kwiatowa. Wieńce, wiązanki, kosze, bukiety i bukieciki w jednej chwili zasłały estradę. Na koncercie tym mieliśmy sposobność poznać wielce obiecującą śpiewaczkę p. Irenę Białkiewicz, obdarzoną pięknym, dźwięcznym głosem. Śpiewała z powodzeniem, chociaż z pewną tremą, arję z „Samsona i Dalili“ Saint Saënsa oraz szereg innych utworów. Sympatyczny pianista prof. Melcer bardzo artystycznie zagrał „Noctun“ własnej kompozycji, Etudę Szymanowskiego i Paderewskiego Capriccio à la Scarlatti. I znowu ukazał się na estradzie Ozimiński i czarował słuchaczów nocturnami Różyckiego i romansem K. Szymanowskiego, bez akompanjamentu zaś wykonał „Kaprys“ A. Kreczmara. Zakończyła koncert piękna Symfonja IV P. Czajkowskiego pod dzielną dyrekcją benefisanta.

*

Każda rasa ma swoje specjalne artystyczne upodobania. Semicką n. prz. najbardziej pociągają koncerty skrzypcowe, fortepian natomiast nie ma już dla niej tego uroku, to też przestronnie było w Filharmonji na koncercie Alfreda Cortot za którego jeden akord możnaby oddać cały koncert niejednego skrzypka, któremu sprawiają wyjąco-klaszczące owacje rozentuzjazmowane rzesze czcicieli smyczkowych instrumentów.

Na dziesiątym wielkim koncercie symfonicznym poznaliśmy naprawdę niepospolitego pianistę, pana Cortot bowiem, śmiało można nazwać tytanem fortepianu! Gra jego robi wrażenie nadzwyczajne, ton olbrzymi, pełny, technika kolosalna i cudowne, nawskroś artystyczne cieniowanie. Koncert C-moll Saint Saënsa w interpretacji p. Cortot był prawdziwem arcydziełem wirtuozostwa. Niemniej pięknie odtwarzał też p. Cortot koncert organowy Friedemana Bacha oraz Rapsodję Liszta, a na gwałtowne prośby publiczności dorzucił nad program nastrojową kompozycję Schuberta i „Wezwa-



Tadeusz Konczyński.
(Premjera „Pani Belli“ w teatrze Rozmaitości.)

nie do tańca Webera“. Orkiestra pod znakomitą dyrekcją Birnbauma odtwarzała doskonale Karnawał rzymski Berlioza i Symfonję Brucknera.

*

Dn. 26 lutego odbył się w Filharmonii „wieczór sonat“. Wyborny zespół tworzyli prof. H. Melcer i utalentowany skrzypek ze Lwowa, Wacław Kochański. Sonata C. Francka i sonata Kreutzerowska Bethovena wykonane były doskonale i dały dużo wrażeń artystycznych, słuchającej publiczności. Oprócz tego p. Kochański solo ,bez akompanjamentu, grał utwory Bacha i Regera.

Z.

Teatr Rozmaitości — „Pani Bella“.

Tadeusz Konczyński rozmiłowany w mistrzowskiem rozwiązywaniu subtelnie zawiłych problemów dramatycznych, posiadający jedyne może u nas, istotnie wielkie poczucie sceny— zapragnął odetchnąć po trudnych swych siejbach twórczych. Zstąpił tedy z koturnów teatralnej powagi, uśmiechnął się filuternie, a z lekkim odcieniem szyderstwa i ukazał nam kilka, niby od niechcenia, choć z ogromną zręcznością, wybranych wycinków z życia pani Belli. „Pani Bella“ jest to miła komedja głupstwa, obłudy, kłamstwa i wszystkich grzeszków wynikających z słabości natury ludzkiej. Jednocześnie zawiera w sobie dramat pustki, która beznadziejnie roztacza się w łaknącej szczęścia duszy pięknej i wyrafinowanej kobieco bohaterki, noszącej wymowne imię — Bella. — Na szczęście dramat w czwartym akcie został zażegnany, wszystko kończy się dobrze; (chyba dzięki temu, że autor jest w różowym humorze). Nieboleśnie osmagane łagodną ironją ucieleśnione wady i słabostki rozbiegły się precz, a bezbrzeżna pustka Belli napełnia się oto szlachetną miłością doktora Pogody. Gra artystów naogół była wyśmienita. P. Pichor uosobiała nieskończoną różnorodnością środków niewieścią finezję i nieszkodliwą zresztą drapieżność broniącej się kotki, Mieczysław Frenkiel w roli profesora Grota galerję swych ty-



Alfred Cortot,
arcy-mistrz fortepianu.

pów wzbogacił jeszcze jedną kreacją, zaś p. Owerło był naprawdę głupim optymistą. *J. A.*

Teatr Mały. — „Pamiętnik młodej mężatki". „Radcy pana radcy".

Lekka komedja „Pamiętnik młodej mężatki" nie wytrzymuje wśród przedstawień teatru Małego tego rekordu co jej poprzedniczka „Losy Europy", niemniej jednak wzbudza zainteresowanie wśród publiczności, bo któżby nie był ciekaw, jakie tam tajemnice młoda mężateczka notuje — zapewne na różowym, odurzająco pachnącym papierze.

Okazuje się jednak, że pamiętnik ten jest już książką, którą urocza autorka p. Helena Lebrun wydała w sekrecie przed mężem (ach, te kobiety!) wcale niedwuznacznie, bowiem akcentuje tam swe „najszczersze" uznanie dla... wolnej miłości. Maskując się jednak z swymi przekonaniami, łatwiej jej pod okiem poczciwego małżonka prowadzić flirt ze „swoim typem" lampartowatym inżynierem p. Saintal, mającym również sympatyczną żoneczkę, lecz już bardziej purytańskich zasad, niż jej przyjaciółka. Flirt się wydaje, następują powikłania „tragedje" rodzinne, zakończone jednak mniej tragicznie, gdyż wyjaśnieniem się całej sytuacji na korzyść powaśnionych małżonków, a zgodę obwieści wystrzał z szampanki podczas pojednawczego śniadania.

Artyści wykazali w tej wesołej sztuczce werwę, temperament i szczery humor. *Z.*

W dziedzinie komedji starszego autoramentu—Bałucki jest niepodzielnym władcą sceny. Komedje jego, pomimo, że dawno minęła już ich pora młodości, nie przestają czarować wdziękiem, jaki posiada wszystko, co tchnie miłą staroświecczyzną, co jest jako zczerniałe rodzinne portrety, z których patrzą drogie twarze przodków. Wystawieni w tym tygodniu przez dyr. Zalewskiego „Radcy pana radcy", są właśnie najbardziej typowym przejawem twórczości Bałuckiego, kipi ta miła komedja werwą niepowszednią, śmiechem serdecznym rozbrzmiewa... Gra artystów była doskonała P. Popławski dał krzepką w ujęciu postać pana radcy, zaś urocza p. Bończa odtworzyła brzydotę sentymentalnej starej panny. *j. a.*

Lady Scott.

Wdowie po bohaterskim podróżniku Scotcie, który zginął tragiczną śmiercią w powrotnej



Lady Scott z synkiem.

drodze od bieguna południowego, król angielski nadał tytuł lady a rząd zajął się zabezpieczeniem jej bytu i bytu sierot.

Lady Scott, jak na dzielną kobietę przystało, zniosła z rzadką mocą charakteru śmierć swego małżonka, dumna, że zginął dla dobra i pożytku swej potężnej ojczyzny. Dziś lady Scott ma sobie za obowiązek wychować swe dzieci na tak hartownych bojowników, jakim był ich nieodżałowany ojciec.

Ś. p. Melanja Rajchmanowa (Orka).

W Paryżu zmarła nagle Melanja Rajchmanowa, pisująca pod pseudonimem Orka, żona b. dyrektora Filharmonji i Opery w Warszawie.

Po przeniesieniu się do Paryża, zmarła brała bardzo czynny udział w tamtejszym ruchu kobiecym, czy to przemawiając na wiecach, odczytach, lub zebraniach, czy też wypowiadając się w drukowanem słowie. Bro-



Ś. p. Melanja Rajchmanowa (Orka).

szurki jej zyskały sobie poczytność a, że szerzyła w nich piękne idee, więc — i szczerą sympatję dla autorki. P. Orka była sekretarką główną nieustającego kongresu międzynarodowego feminizmu i rzeczniczką idei, którym jako dobra żona i matka poza wychowaniem dzieci, poświęcała z zamiłowaniem nieżmożoną swą pracę.

Jak mogła przyczyniała się również do zaznajamiania i zajęcia sfer francuskich naszemi najżywotniejszemi sprawami.

Ubyła cicha i dzielna pracowniczka na niwie społecznej.

Śmierć Wialcewej.

W Petersburgu zmarła słynna śpiewaczka estradowa, A. Wialcewa, znakomita i nieporównana odtwórczyni t. zw. cygańskich romansów. Wialcewą zna i nasza publiczność z występów w Filharmonji, gdzie czarowała swym głosem i tą niewypowiedzianą werwą swego talentu zebranych słuchaczów.



Anastazja Wialcewa,
słynna śpiewaczka romansów cygańskich.

Śmierć nastąpiła skutkiem anemji. Na kilka dni przed śmiercią, śpiewaczkę poddano niezwykłej operacji, zasadzającej się na przelewaniu krwi. W tym celu mąż zmarłej poświęcił się, pozwalając przelać ze swych żył pół litra krwi do organizmu ukochanej małżonki. Arterję męża połączono z weną żony za pomocą rurki i przez kilkanaście minut odbywało się to niezwykłe przelewanie, nie pomogło jednakże i po kilku dniach śmierć zabrała młodą artystkę w pełni rozwitu jej talentu.

Krzyż Legji honorowej dla awiatorki.

Płeć piękna coraz to większą „konkurencję" wytwarza we wszystkich dziedzinach życia brzydkiej połowie rodu ludzkiego.



Panna Dutrieu, dzielna awiatorka, obdarzona krzyżem Legji honorowej.

Rozumie się można to tylko zakarbować na korzyść jej przedstawicielek, o ile konkurencja nie przejawia się w tak niekulturalnej i barbarzyńskiej formie w zdobywaniu praw, jak to czynią obecnie sufrażystki angielskie.

Ostatnio zdobyła sobie we Francji krzyż Legji honorowej, za zasługi na polu lotnictwa, dzielna awiatorka panna Dutrieu. Walczyła nie jak jej niesforne siostrzyce z Albionu, lecz prawdziwe zasługi zaważyły na szali, gdy prezydent udzielał jej to rzadkie dla kobiet odznaczenie.

MIECZ I DYPLOMACJA.

Ku pokojowi. Ubóstwo Turcji. Koszta wojenne. Ponowne rokowania. Załagodzenie sporu austro-rosyjskiego. Delcassé. W Meksyku.

Zima kalendarzowa ma się ku końcowi, a wraz z nią ku końcowi mają się operacje wojenne na półwyspie Bałkańskim. Nie osiągnęli wprawdzie Bułgarzy tego, czego pragnęli, wznawiając wojnę. Nie zdobyli Adrjanopola, nie przekroczyli linji czataldżyńskiej, — ale doczekali się zupełnego wyczerpania Turcji ze skromnych zasobów pieniężnych, jakie miała do rozporządzenia. A bez pieniędzy — niema wojny; tak było dawniej, tak i dziś jest jeszcze.

Turcji zabrakło pieniędzy nie tylko na pensje dla urzędników i oficerów, ale na żywność dla żołnierzy, na konie do armat, na ładunki do karabinów. Zarządzono pożyczkę publiczną. Niewiele ona przyniosła; — nic dziwnego: państwo tureckie szybko zbliża się ku całkowitemu bankructwu, a bankrutowi nikt pożyczyć nie chce. Zaczęto więc przymusem zabierać żywność, konie; następstwem tego — rozdrażnienie wśród ludności i jawne wybuchy niezadowolenia. Rzecz naturalna, że zasobów wojennych, ani pieniędzy na pokrycie kosztów olbrzymich nie znaleziono na tej drodze. Bo zresztą nieprawdopodobieństwem byłoby znaleźć tyle miljonów, ile ich pochłania wojna. Według tymczasowych obliczeń, Turcja wydaje obecnie półtrzecia miljona rubli dziennie.

Ale i Bułgarja, jak się zdaje goni już ostatkami zapasów, jakie na wojnę zgromadziła. Koszty wojenne Bułgarów dochodzą do półtora miljona dziennie. Serbja na ten cel zmuszona jest wydawać miljon rubli, Grecja niewiele mniej, a ubogie Czarnogórze około 300,000 rb. Nic dziwnego, że każdemu z tych państw śpieszno zawrzeć pokój, tembardziej, że na zwrot kosztów wojennych od zwyciężonej Turcji liczyć nie można. W najlepszym razie Turcja może obiecać odszkodowanie; ale na obiecance wszystko się skończy.

Okoliczność ta powinna przyczynić się do przyśpieszenia rokowań pokojowych, ponownie nawiązanych między stronami walczącemi. Tym razem napewno przewidywać można, że rokowania te nie zostaną już przerwane dla wszczęcia po raz trzeci wojny. Równocześnie z zakończeniem zawieruchy na Bałkanach, kończy się spór między Austrją a Rosją, spór, który ciężkiem brzemieniem ciążył przez kilka miesięcy nad Europą, wywołując obawy ogromnego starcia „wszystkich ze wszystkimi". Cały ten spór tak jest skomplikowany, a w szczegółach swych



Teofil Delcassé, nowy francuski ambasador w Petersburgu.



Ex-prezyd. Fallières wita nowego prezydenta Francji Poincarégo, podczas ceremonjału zdawania rządów państwa.

tak niejasny, że jeszcze przez długie czasy zagadką będzie, co właściwie zagrażało Europie, i o co właściwie miała się stoczyć wojna, którąby pociągnęła za sobą zniszczenie tak straszne, że kto wie, czy kiedykolwiek dałoby się ono powetować.



Wyprzęganie i przymusowe zabieranie koni do wojska na ulicach Konstantynopola.

Na wiszącą nad Europą wojnę spoglądały z zaciekawieniem z jednej strony ludy Ameryki, z drugiej—państwa Azji wschodniej. W ich pojęciu, nie bez racji, wojna, jaka nam groziła, zakończyłaby panowanie Europy nad światem, a rozpoczęłaby nowy okres. Czy potoczyłby się on pod znakiem chryzantemy, czy pod sztandarem gwiaździstym — trudno się dziś zastanawiać, to tylko pewna, że wojna utorowałaby drogę do zapanowania w handlu wszechświatowym zarówno amerykanom, jak i japończykom.



Tureccy szpiedzy, jako jeńcy w bułgarskim obozie.

Obawy te minęły. Życie międzypaństwowe zaczyna wchodzić na tory normalne. Panujący zaczynają składać sobie wzajemne wizyty, jak wśród czasu największego spokoju. Królestwo duńscy odwiedzili Berlin, cesarstwo niemieccy zapowiedzieli swą wizytę w Wiedniu.

Do wzmocnienia podstaw pokoju przyczyni się niewątpliwie nowy ambasador francuski w Petersburgu, Delcassé, jeden z najzdolniejszych polityków współczesnych, odznaczający się nietylko rozumem i zręcznością, ale także stanowczością. A zaleta to pierwszorzędnego znaczenia, bo zdaje się nie ulegać wątpliwości, że głównym powodem ciężkich chwil, jakie Europa świeżo przeżyła był głównie brak stanowczości wśród polityków i dyplomatów.



Generał Bernardo Reyes pozdrawia kadetów meksykańskich.



Królestwo duńscy w Berlinie. Po prawej stronie królowa Aleksandryna duńska, po lewej — cesarzowa niemiecka.

Wszystko więc podąża ku pokojowi. Nawet „kraina wiecznej wojny“, Meksyk, zaczyna się uspokajać. Ostatnia rewolucja poczyniła tam straszne spustoszenia. Długich lat trzeba będzie, by z tych gruzów, w jakie zamieniono jedno z najpiękniejszych miast na świecie, powstały z powrotem te cuda, o jakich podróżnicy opowiadają. (*h. m.*)



Zakonnicy klasztorni na górze Athos.



Klasztor Simopetra na górze Athos.

Na górze Athos.

Wypadki na Bałkanach wysuwają na porządek dzienny sprawę góry Athos, mniszego republikańskiego państewka, składającego się z 20 męskich klasztorów i 11 mniszych wiosek, również tylko przez zakonników zamieszkałych. Prawo na górze Athos zabrania wstępu na grunta owego szczególnego państewka nietylko kobietom, lecz co dziwniejsze—samicom wszelkiego rodzaju zwierząt lub domowego ptastwa.

Państewko mnisze powstało jeszcze w wiekach średnich a właściwym fundatorem tegoż jest mnich Atanazy, spowiednik cesarza bizantyjskiego Nicefora.

Przy końcu X wieku cesarz Aleksy V nadał szereg przywilejów klasztorom Athosu a między innymi uwolnił je od płacenia wszelkich podatków i skasował tam zupełnie kontrolę urzędników cesarskich.

Wojny krzyżowe oraz cały XIV w. są dobą upadku góry Athos, w tym czasie grasowały tam bowiem bandy rozbójników katalońskich. W r. 1430 Athos podpada władzy Turcji a rząd ottomański nakłada podatki, pozostawia jednak bez zmiany samorządny ustrój państewka.



Hermanos V, nowy okumeniczny patrjarcha Konstantynopola, głowa wschodniego greckiego kościoła.

Przez parę wieków Athos nie daje znać o sobie żadnem szczególniejszem wydarzeniem, dopiero w 1753 r. mnich Eugenius Bulgaris, zakłada tam akademję, gdzie sam kształci swych słuchaczów, nietylko na klasykach, lecz zapoznając ich również z nauką Zachodu.

Ta szczególna republika liczy ogółem 8000 zakonników a wszystkie klasztory podlegają nominalnie władzy patrjarchy ekumenicznego w Konstantynopolu, właściwie rządzi jednak „święty" synod w wiosce Karyaes, złożony z przedstawicieli wszystkich tamtejszych klasztorów, któremu przewodniczy kolegjum z 4 mnichów wybieranych co roku kolejno z innego klasztoru.

Obecnie góra Athos, pozostając nadal samodzielną republiką, podlegać ma opiece Rosji, Bułgarji, Rumunji, Serbji, Grecji i Czarnogóry, czyli tym wszystkim państwom, których narodowości posiadają tam swoje klasztory.



Z teki karykatur Cyprjana Norwida (r. 1844). Romantyzm i pozytywizm.

Odpowiedzi Redakcji

Zaciekawionemu. Utwory początkujących autorów drukujemy chętnie, o ile posiadają istotną wartość literacką. Za życzenie—dziękujemy.

Potrzebującemu. Niestety! Nie posiadamy adresu pięknej miljarderki p. Rity Gould. Radzimy zwrócić się do amerykańskich dzienników.

P. Bercie H. „Genjusz" naogół niegenjalny. Są jednak przebłyski zdolności, które przy pracy, być może, rozwinęłyby się.

Abstynentowi. W Warszawie tego rodzaju zakładu—niema. Z zagranicznych możemy polecić Sz. P. sanatorjum dla alkoholików, niedaleko Heidelberga w Neckargemüde pod Eberbach, Hans Rockenau, Dr. Siver.



Femina

PRAKTYCZNA SZKOŁA HANDLOWA W PARYŻU.

(Dokończenie).

Cel szkoły polega na przygotowaniu uczestników i uczestniczek do pracy na polu handlowem i finansowem. Zadaniem zaś wykładów jest, w możliwie najkrótszym czasie, zaopatrzyć ich: 1) w bezpośrednio pożyteczne wiadomości praktyczne; 2) wtajemniczyć w rozmaite czynności handlowe i bankowe; 3) przygotować na pomocników rachmistrzów, kasjerów, zarządzających domami handlowymi i t. p.

Ponieważ studja handlowe przynieść mogą istotne korzyści dopiero wówczas, gdy oparte są na rzeczywistych stosunkach, postarała się więc szkoła Pigier'a o wytworzenie otoczenia najbardziej odpowiadającego temu, jakie się spotyka w prawdziwych domach handlowych. Ogromne przeto, bardzo starannie oświetlone sale mają pozór domu handlowego ze wszystkimi jego oddziałami: sklepami, biurami ekspedycyjnemi, kantorami i t. p. Czynności zaś i manipulacje, w jakich przyjmują udział uczestniczki kursów, nie są fikcyjne, lecz rzeczywiste. Teorja idzie tam w parze z praktyką, co stanowi najlepszą metodę nauczania.

Oprócz operacji wewnętrznych prowadzi szkoła korespondencję z wieloma szkołami podobnego typu zagranicą, wszystkie zaś dokumenty wielką się odznaczają dokładnością, jak zwykle w handlu, i są ekspedjowane pocztą. Regulowanie zaś rachunków uskutecznia się za pośrednictwem banków.

Korespondencję prowadzi szkoła we wszystkich europejskich językach, obznajmia przytem swoje uczestniczki z kursem zagranicznym, z taryfą transportową, z przepisami celnymi i t. p.

Wchodzące w zakres handlu czynności łącznie z ćwiczeniami praktycznemi, obejmują: debet, faktury, ekspedycję, kasę i korespondencję.

A ponieważ zmiana sekcji odbywa się co tydzień, studjują przeto uczenice tylko jedną czynność na raz, przechodząc do drugiej wówczas dopiero, gdy dostatecznie obznajmiły się z poprzednią.

Po ukończeniu studjów przygotowawczych, następuje zastosowanie teoretycznych wiadomości w praktyce. Przyczem spełniają uczestniczki szkoły czynności rzeczywistych komisantów. Piszą w prawdziwych księgach handlowych, mają do czynienia z prawdziwymi towarami i t. p.

Nie zaniedbując niezbędnych przy nauce czynności handlowych wiadomości teoretycznych, największy nacisk kładzie szkoła Pigier'a na stronę praktyczną.

Otrzymuje przytem każda uczenica specjalne wyjaśnienia, ile razy zajdzie tego potrzeba.

Operacje handlowe w takim po sobie następują porządku: *Komisy, Sprzedaż, Faktury, Ekspedycja, Likwidacja.*

Wszystko to znajduje się w specjalnych rejestrach, które uczenice powinny wypełnić.

Żadna sposobność nie została tam pominięta, jak widzimy w celu nauczania i zainteresowania słuchaczek. I choć nie zaniedbuje szkoła Pigier'a niezbędnych przy nauce czynności handlowych wiadomości teoretycznych, to jednak największy nacisk kładzie ona na stronę praktyczną.

Niezmiernem ułatwieniem dla uczestniczek jest możność rozpoczynania, przerywa-

nia i ponownego kontynuowania rozpoczętych studjów w każdym czasie, oraz prawo zapisywania się na kursy handlowe w ciągu całego roku. Wykłady zbiorowe, jakie dotychczas utrzymały się we wszystkich szkołach, ustąpiły tam miejsca zajęciu się każdą uczenicą zosobna. System powyższy stosowany jest zarówno w czasie lekcji kaligrafji, stenografji, daktylografji, jak i w czasie lekcji języków obcych, rachunkowości, korespondencji i t. p. Gdy zatem uczenica wykonywa pewną pracę w ciągu trzech godzin naprzykład, to może 5 lub 6 razy wezwać profesora, który w każdej chwili udzieli jej niezbędnych wskazówek. Czas trwania studjów w szkole Pigier'a zależny jest od uprzedniego przygotowania uczestniczek, ich zdolności i czasu, jakim rozporządzają.

W każdym razie te uczestniczki, które nigdy nie pracowały w gałęzi handlowej, poświęcić muszą conajmniej pół roku w celu obznajmienia się z czynnościami handlowemi; dla tych zaś, które są z niemi do pewnego stopnia obznajmione, wystarczy trzy miesiące (naturalnie gdy chodzi o specjalizację w jednym wyłącznie kierunku. Nauka bowiem w szkole Pigier'a obejmuje trzy stopnie, z których każdy stanowi oddzielną całość.

A teraz z kolei rozpatrzmy programy. Nauka handlowości obejmuje następujące przedmioty teoretyczne: *Kaligrafję, Rachunek, Prowadzenie dokumentów handlowych, listów, zleceń, faktur, kopji i ksiąg rachunkowych, pokwitowań, rewersów, ceduł ładunkowych, ceduł wodnych, deklaracji i t. p. Korespondencję handlową, Praktyczne ćwiczenia handlowe* (obznajmianie uczestniczek z pracą urzędników handlowych), *Prowadzenie ksiąg pomocniczych* (ksiąg zleceń, kupna, sprzedaży, kasowych, towarów, regestrów aktywnych i pasywnych i t. p.), *Zasady prawodawstwa handlowego, Arytmetykę handlową.*

Oprócz przedmiotów powyższych obejmuje program szkoły daktylografję i języki obce (angielski, niemiecki, hiszpański, rosyjski), których nauka prowadzoną jest za pomocą fonografu.

Obejmuje ona trzydzieści lekcji a celem ich jest zaznajomienie uczniów z pewnym zasobem wyrazów, najczęściej w mowie potocznej używanych zdań i zwrotów oraz prawideł gramatycznych.

Nieznaną dotychczas u nas nowością jest wprowadzenie w szkole Pigier'a kursu stenografji mechanicznej za pomocą maszyny do stenografowania, znanej ogólnie pod nazwą: *„Stenofilь Birorta"*. Stenofila Birorta, posługując się zwyczajnemi literami, w znacznej mierze ułatwia stenografję.

Ponieważ obok wykształcenia zawodowego, prowadzi szkoła Pigier'a i wykształcenie ogólne, przygotowując do egzaminów na dyplomy pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego stopnia oraz do konkursowego egzaminu w szkołach rolniczej i weterynaryjnej, uważam przeto, iż studja powyższe przynieść mogą nieobliczone korzyści każdej z moich rodaczek, co sumiennie i gruntownie pozna objęte programem szkoły przedmioty.

Wyjazd zaś do Francji w celu zdobycia zawodowego wykształcenia nie może być traktowany na równi z modną w chwili obecnej epidemją, lecz poczytywany być winien za rozumny postępek kobiety inteligentnej, pragnącej byt niezależny zapewnić sobie w przyszłości.

E. Żypowska.

MALARZE PIĘKNYCH KOBIET.

Wszyscy poeci i powieściopisarze, którzy czynią z „malarzy pięknych kobiet" bohaterów utworów swoich, dzielą przekonanie ogólne, że zawód ten jest ze wszech miar błogosławionym że otacza go aureola bezustannych sukcesów, że w życie owych artystów specjalistów, wplatane są same kwiaty o cudnej odurzającej woni, że nad ich czołem świeci jasnymi blaskami gwiazda tryumfu, że im w życiowym pochodzie przygrywa wspaniała symfonja bez śladu dysonansu — jednem słowem że są uosobieniem wybrańców losu!...

Wszystko to jednak, cały ten nęcący obraz, dalekim jest od rzeczywistości i w zupełnie innem przedstawia się oświetleniu, nawet dla tych artystów, którzy wysoko wybili się ponad ogół, nawet dla arcy-mistrzów tej dziedziny sztuki. Długoletnie doświadczenie dało im niestety poznać nietylko kwiaty—ale i obfite ciernie i głogi; urocze tony pieśni przechodziły często w zgrzyt trudny do zniesienia, zamiast promiennej gwiazdy, nad czołami mistrzów — ukazywały się na tych czołach bruzdy zawodów i zniechęceń, dochodzących aż do wyrzeczenia się ukochanej przez nich specjalności, *portrecistów pięknych kobiet.* Okoliczność ta stwierdzona jest faktami.

Sławny mistrz portrecista *Sargent* wszechświatowo uznany

za potęgę—porzucił raz na zawsze swoją specjalność i niema siły, która by go do niej zwróciła.

Miljarderki amerykańskie piękne jak wschodzące jutrzenki, o idealnych posągowych kształtach, kładły mu za swe portrety—majątki do stóp, ofiarowywały mu pałace w swej ojczyźnie — wszystko daremnie! *Sargent* już nie portretuje pięknych kobiet! Dały mu się dobrze we znaki. Bardzo znany malarz *Herkomer* mówi otwarcie, że przekłada o wiele wykonywanie portretów męskich nad kobiece, których się podejmuje z wielką niechęcią i za bardzo duże pieniądze, arcydziełem jego jest portret Miss Grank, który mu zjednał wielką sławę i wzięcie. Od tej pory portrety kobiece jego pędzla należą do rzadkich osobliwości.

Wiadomo jest, z jaką trwogą przyjmował sławny *Menzel* zamówienia na kobiece portrety i z jaką stanowczością odmówił sportretowania cudnie pięknej i znanej swego czasu amerykanki Jeny Lind, która za wszelką cenę chciała posiadać portret swój przez Menzla wykonany.

Bardzo niedawno, cała fachowa prasa francuska podniosła zasługi wielkiego malarza *Edwarda Manet*. Omawiano przeróżne okoliczności i nieporozumienia związane z każdym poszczególnym malowanym przez niego portretem kobiecym. I tak portrety te, które dziś opłacają dziesiątkami — ba, setkami tysięcy—pozostawały swego czasu niedocenione nawet przez znawców, a bardzo często przez modele nie przyjmowane. „Kiedy zaczynam portret kobiecy pisze Manet — drżę na myśl, że model może już więcej do mnie nie wróci, lub że go studjować będę nie tak często i nie tak długo jak tego wymaga potrzeba — jakbym tego pragnął, a znowu ogarnia mnie lęk, przed temi, które powracają zbyt często, żądając poprawek, ulepszeń, których czynić nie chcę i nie mogę. I te obawy wielkiego *Manet'a*, podzielają wszyscy portreciści wogóle, a już szczególnie malarze pięknych kobiet, — jest to troska nieustanna, towarzysząca ich dziełu od początku do końca.



Panna Prewost z Komedji francuskiej, wymarzony model dla malarzy.

Pierwsze seanse w pracowni sławnego i modnego malarza, posiadają dla każdej z pań urok nieopisany, są dla niej prawdziwem świętem, wielkopańską rozrywką, czemś na co się długo czekało, o czem się marzyło i co się wreszcie urzeczywistnia. Dama przychodząca na pierwsze portretowe seanse, jest zachwycona wszystkimi szczegółami składającymi się na piękną całość wielkiej pracowni, ogląda ciekawie rozpoczęte prace mistrza — płótna i kartony, szuka wszędzie śladów pięknych modelek, które tu przed nią gościły... wchłania z rozkoszą powietrze przesycone specjalną wonią farb i subtelnych perfum, bawi ją ta *nowość* tak zasadniczo odmienna od jej codziennego otoczenia. Jest to jednak samo zapoczątkowanie pracowitego dzieła, do którego potrzeba wielkiego talentu z jednej strony a wielkiej cierpliwości, wytrwania i zrównoważenia z drugiej. Na to, by seans powtarzany codziennie, z koniecznem unieruchomieniem, i tymże samym wyrazem twarzy, nie znudził, nie zniecierpliwił i nie zdenerwował osoby pozującej, trzeba aby mistrz był nie tylko wielkim artystą, by umiał jak niegdyś Rubens lub Raynold połączyć artyzm ze sztuką życia. Tylko wytworny *pittore cavalieresco* potrafi tak zająć i ująć piękną kobietę, że nie będzie uważała pozowania *za karę piekielną*, jak je nazwała jedna z uznanych angielskich piękności. Portrecista kobiet, musi być skończonym psychologiem, musi umieć wywołać właściwy nastrój, prowadzący do właściwego wyrazu twarzy, do smętnego lub figlarnego uśmiechu, do zadumy i melancholji lub do iskrzącej się w oczach i na ustach wesołości... a co najwięcej, musi umieć wyraz ten utrzymać, aż do skończenia dzieła. Jest to trudność olbrzymia, a do jej zwalczenia potrzebną jest pewna suggestywna władza, której model ulegać po-



Piękna Monna Delsa podczas pozowania.

winien i wtedy dopiero portret staje się arcydziełem... I nie na tem koniec. Portreciści pięknych kobiet muszą ponadto być subtelnymi znawcami strojów kobiecych, muszą znać tajniki mody we wszystkich szczegółach, muszą sami uczynić wybór tualety odpowiedniej do rodzaju urody odtwarzanej postaci, muszą dobrać odpowiednie otoczenie czyli dekorację do portretu; jednem słowem ich zmysł orjentacyjny musi być poparty wielkim talentem, wielką zręcznością i cierpliwością bez granic. Tak uzbrojeni malarze pięknych kobiet, zdobywają szybko wielką sławę i wielki majątek, a wtedy... ci *wybrańcy losu*, wyrzekają się z całą rozkoszą swej specjalnej sztuki, która pochłania życie, targa najsilniejsze nerwy, sprowadza zniechęcenie. Oswobodzeni ze złotego jarzma—pragną zapomnieć o istnieniu pięknych kobiet — a dla rozrywki malują drzewa, kwiaty—ptaki lub obrazki rodzajowe—daje im to może mniej sławy ale zapewnia spokój, tak długo przez piękne panie zakłócany!...



Jan Sala maluje Arlettę Dorgère.

Marcèle.

NOWINY I NOWINKI.

Nowa potrawa.

Czy wiecie kochane czytelniczki, jaka jest najnowsza potrawa, najbardziej wytworna i niezwykła? Zdziwicie się zapewne, gdy wam powiem, że jest nią... *antylopa*, której ojczyzną jest Afryka Południowa. Od czasu kiedy ją podano na stół, podczas dorocznego śniadania w „Societé National d'Acclimation", stała się ona ozdobą menu wszystkich największych restauracji europejskich. W wyższem towarzystwie francuskiem, obiad, w którym potrawa z antylopy nie stanowi „clou" wszystkiego jest uważany za obiad w złym stylu, za obiad w którym popełniono trywjalny grzech nie podania tego, co stanowi esencję wykwintnego i przez modę uświęconego smaku.

Kobiecy hotel.

W Ameryce otwarto hotel, przeznaczony wyłącznie dla kobiet. Orkiestra składa się z kobiet; służbę pełnią milutkie młode dziewczęta; łaźnie obsługuje kąpielowa oraz dwie masażystki; zamiast szwajcarów, w westibulu stoją urocze dziewczątka w krótkich spódniczkach. Hotel ten jest naprawdę rajem dla kobiet. Mieszkają w nim panny z najlepszych domów, kobiety bezdzietne, wdowy i emancypantki... W tym raju, w którym niema Adama...

Rady i wskazówki.

W. Pani Adeli R. w Wilnie. Najnowszym środkiem pielęgnowania piękności twarzy, szyi i rąk jest obecnie t. zw. „mleko czarodziejskie", zalecane ogólnie przez lekarzy. Jest to wyciąg ze świeżych jaj. „Mleko czarodziejskie" niszczy w zarodku wszelkie wysypki, wągry, piegi, żółte plamy i czerwoności, czyniąc twarz idealnie delikatną i młodą. Wzmacnia też osłabione muskuły, wygładza wszelkie zmarszczki i usuwa obwisłości szczęk i podbródka. Reprezentantami tego znakomitego kosmetyku na Polskę są znani drogiści warszawscy p.p. Hetner i Tejchmon.



Polska komisja szkolna.

Najsmutniejszą i najboleśniejszą sprawą społeczną w Łodzi jest oświata początkowa. Organizacja jej nigdy nie odpowiadała potrzebom istotnym, a podział funduszów na komisję szkolną—polską i niemiecką, wywołał długotrwałe zaognienie stosunków i nieporozumienia, które jeszcze dotąd nie dały się załagodzić lub usunąć. Nie dość tego! Do opłaty podatków obowiązujących na rzecz szkół miejskich wielu obywateli miasta wcale się nie poczuwa a przedsiębiorstwa i towarzystwa akcyjne jak mogą—wykręcają się z tych obowiązków i usiłują je zwalić na tej zasadzie, iż pojedyńczy członkowie tych towarzystw opłacają składki na rzecz szkolnictwa. Z drugiej strony ludność uboga czuje się nadmiernie obarczoną tym podatkiem i również w wielu wypadkach uchyla się od płacenia, tak dalece, że niejednokrotnie trzeba się uciekać nawet do środków egzekucyjnych.

Wogóle gromadzenie funduszów jest bardzo ciężkie i niepomyślne; środki zaś tą drogą mozolną zdobyte nie są wystarczające na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb szkolnych. Pomimo to jednak komisja szkolna uważała dotąd za właściwe używanie części tych funduszów na potrzeby, a raczej na cele, nie mające nic wspólnego z oświatą. Mianowicie, przeznacza co rok 2,010 rb. na następujące cele: naczelnikowi dyrekcji naukowej na powiększenie kancelarji, według jego uznania, referentowi i buchalterowi dyrekcji naukowej, inspektorowi szkół ludowych łódzkich na lokal i temuż na wynajęcie kancelisty. (W przewidywanych budżetach komisji szkolnej niemieckiej i żydowskiej również figurują sumy na te same cele).

Tymczasem gubernator piotrkowski wskazał tę niewłaściwość wydatkowania części funduszów szkolnych na kancelarję dyrekcji naukowej oraz biura inspektorów szkolnych i skutkiem tego niektórzy członkowie komisji postanowili zwalczyć ten zwyczaj niewłaściwy, praktykowany z uszczerbkiem funduszów szkolnych.

W sprawie tej w tych dniach wystąpiła miejscowa prasa polska, potępiając jednomyślnie bez względu na warunki, tę hojność komisji. Wskazano między innemi Ukaz Cesarski dla naszych szkół początkowych z dn. 30 sierpnia 1864 r., w którym powiedziano: „Oszczędności osiągnięte na funduszach szkół początkowych miejskich mogą być używane jedynie na potrzeby szkół początkowych tego miasta lub miasteczka, gdzie oszczędności te nastąpiły". A więc używanie tych funduszów na inne cele jest już bezprawiem.

Z tego powodu *„Rozwój"* czyni uwagi następujące:

„Teraźniejsza komisja dla szkół miejskich w Łodzi zastała w magistracie popełniane przez szereg lat takie bezprawie a nie mając o tem należytej świadomości — dotąd je aprobowała. Gdy wszakże zwróconą została uwaga na nieprawidłowość tego postępowania przez najwyższego w gubernji przedstawiciela władzy rządowej, stojącego na straży praw obowiązujących, to już dłużej przeciw prawu działać nie można...

„Niechże jednak wiadomem będzie publicznie, że są w pomienionej komisji tacy członkowie, którzy obstawali uparcie za utrzymaniem w etacie wydatku 2,010 rb. Mówią oni, że jest to potrzebne, aby nie zniechęcić dla spraw naszych szkół miejskich osób, mających nad niemi bezpośrednią władzę. Otóż tu trzeba zrozumieć, że najpierwszym obowiązkiem wszystkich członków komisji jest trzymanie się prawa. Członkowie komisji mają święty obowiązek liczyć się także z tem, co zaleca im sumienie obywatelskie i opinja ich współmieszkańców, interesowanych w sprawie szkół początkowych miejskich. Ci wiedzą i czują to dobrze, iż komisja nakłada na nich opłatę szkolną możliwie największą, dowodząc, że jest to koniecznem na utrzymanie szkół, których mimo tego jest brak wielki. Jakże więc miałoby być możliwe wydawanie przez komisję—i to przeciw prawu—na inne niż szkolne cele pieniędzy z funduszu szkolnego.

„Tu śmiało twierdzić trzeba, że być zatem nie godzi się członkom komisji szkolnej. Wolno im chyba, o ile uznaliby to za stosowne i mają odpowiednie środki pieniężne—a tacy właśnie oświadczyli gotowość szafowania nieprawnie funduszem szkolnym—złożyć z własnej kieszeni prezent na wypłacenie w roku bieżącym pomienionych 2.010 rb.

„Grosza publicznego na prezenty takie stanowczo wydawać nie można—bez grzechu wobec obowiązku i sumienia obywatelskiego i bez narażenia się na słuszną naganę ze strony swego społeczeństwa".

Jeszcze w ostrzejszej formie wystąpił *„Nowy Kurjer Łódzki"*:

„Naczelnik dyrekcji naukowej, inspektor szkół ludowych jako też podwładni im urzędnicy, pobierają za czynności swe utrzymanie wystarczające ze skarbu państwa w postaci pensji i t. p. i jeżeli tym funkcjonarjuszom rządu nie wystarcza na utrzymanie, to powinni zwrócić

się do swej władzy. Przyjmowanie zaś ofiar, zapomóg czy też podarunków od komisji szkolnych jest conajmniej dziwne. W swoim czasie zwrócił się gubernator piotrkowski szambelan Jaczewski do kuratora okręgu naukowego ze skargą na niewłaściwe szafowanie groszem publicznym, lecz otrzymał podobno odpowiedź, iż „jeśli chcą płacić, niech płacą"; gdy się te słowa przetłumaczy na język polski, będą oznaczać. „głupi daje, mądry bierze".

Faktem jest naprzykład, że kancelistą inspektora szkół ludowych w Łodzi jest zapalony nauczyciel tych szkół, który pobiera pensję jako nauczyciel, prócz tego otrzymuje z funduszów miejskich 750 rb.".

„Powinniście pamiętać — mówi pismo pod adresem członków komisji—że Łódź należy do tych nieszczęśliwych miast Królestwa Polskiego, które daleko po zagranicami kraju słyną z braku szkół a co za tem idzie, z analfabetyzmu, a te czynniki wytwarzają liczne szeregi nieletnich przestępców i bandytów...

„Więc komuż ma powierzyć społeczeństwo tak ważne, w ogólnym pochodzie kulturalnym placówki, jeśli obywatele miasta traktują po macoszemu i karygodnie swe obowiązki członków komisji szkolnej, rzucając na marne nieraz ciężko zapracowany grosz publiczny...

Niech komisja szkolna uprzytomni sobie uczciwe obowiązki obywatelskie i usunie z preliminarza wydatkowanie nieprodukcyjne 2,010 rb.,—jako bezprawne, nieetyczne i niesumienne. W przeciwnym razie będzie zasługiwała na napiętnowanie i okrzyk społeczeństwa: ,,precz ręce od grosza publicznego!"

Zdawałoby się, że po takich nawoływaniach, które są opinją większości zainteresowanych mieszkańców miasta, członkowie komisji bez wahania, jednomyślnie wykreślą z budżetu ten wydatek, ponoszony z pieniędzy publicznych i z krzywdą dla oświaty. Nikt nie mógł wątpić, że jeżeli w komisji odezwą się głosy za pozostawieniem tej pozycji nadal, to tylko dla pozoru, że nacisk opinji publicznej, poparty wyraźną, określoną opinją najwyższej władzy gubernjalnej, wywrze pożądany wpływ.

Tymczasem ku powszechnemu zdumieniu, w tych dniach na naradach komisji zapadła uchwała, mocą której sumę 2,010 rb. przyznano nadal na różne pozycje rozchodu do dyspozycji naczelnika dyrekcji naukowej łódzko-piotrkowskiej.

Fakt wymowny! Tak dalece wymowny, że wszelkie komentarze są całkiem zbyteczne.

Stało się zadość tradycji. Pod jednym tylko względem ją zachwiano i wykazano dążność nowatorską. Mianowicie poruszono sprawę nazwy komisji szkół miejskich. Z chwilą ustanowienia niemieckiej komisji szkolnej, komisję szkół miejskich nazwano polską. Obecnie uczestnicy narad przyszli do przekonania, że nazwa ta jest... nieścisłą; bo gdy raz komisja niemiecka zarządza wyłącznie szkołami niemieckiemi, komisja polska ma pod swą opieką szkoły miejskie z językiem wykładowym rosyjskim, do których wstęp mają wszystkie narodowości. Postanowiono więc przyjąć nazwę... neutralną: „Komisji szkół początkowych miejskich"...

Z. Pietkiewicz.

Związek fabrykantów.

Powstaje w Łodzi nowa organizacja, jako *signum temporis*. Będzie to związek fabrykantów, mający na celu obronę interesów przemysłu wobec niesumiennych odbiorców. W ostatnich czasach, na tle ogólnego przesilenia wzrost weksli protestowanych doszedł do olbrzymich niebywałych dotąd rozmiarów. Zawieszenie wypłat to zjawisko dnia powszedniego. Ale ci, co zawieszają wypłaty, umieją wybrnąć z trudności. Wchodzą w porozumienie z innymi i dalej operują pod obcym płaszczem. W taki sposób robią się „interesy" w Łodzi, kosztem przemysłu a następnie robotników, gdyż każda strata fabrykanta, przedewszystkiem odbja się na ich skórze.

Ażeby zapobiedz nadal tym zbójeckim operacjom odbiorców, grupa fabrykantów łódzkich postanowiła utworzyć związek, który nakreśla sobie zadania następujące: postawienie takich warunków, ażeby kupcy pokrywali należności na miejscu w Łodzi. Ażeby terminy płatności nie były dłuższe nad sześć miesięcy. Dalej: wzajemne informowanie się fabrykantów danej gałęzi przemysłu, celem zapobiegania zbyt wysokiemu, a więc ryzykownemu kredytowi. Następnie podział okręgów zbytu w taki sposób, ażeby na każdy przypadała stosunkowo niewielka liczba hurtowników, ułatwiających kontrolę. Uregulowanie zwrotu towarów, które obecnie jest w takim stanie, że fabrykanci nigdy nie mogą być pewni, czy towar jest sprzedany i w jakiej ilości. Utrudnia to niezmiernie regulowanie produkcji. Wreszcie postanowiono rozwinąć energiczne zabiegi o wprowadzenie rejestru firmowego, którego brak jest wprost klęską dla wytwórców, gdyż uniemożliwia kontrolowanie zdolności płatniczych. Jak wiadomo, dotąd w ciągu lat czterdziestu kilku zabiegi o wprowadzenie rejestru firmowego u nas pozostawały zawsze bez skutku. Może grupa zsolidaryzowanych będzie pod tym względem szczęśliwsza.

Ilustracją tych smutnych, niezdrowych stosunków, są fakty następujące: W tych dniach zbiegł z Towarzystwa przedstawiciel domu ekspedycyjnego w Łodzi pod firmą „Leopold Landau", który jest przedstawicielem na Łódź i okolice Towarzystwa transportowego „Kaukaz i Merkury". Zbieg pobrał w Tomaszowie różne zaliczenia oraz rozprzedał sprowadzone na rachunek firmy różne towary, ogółem na sumę około 300 tysięcy rubli.

Objawem tych samych niezdrowych stosunków są również znaczne nadużycia w Pabjanickiem Towarzystwie wzajemnego kredytu. Straty w pierwszej chwili obliczono na 380,000 rubli. Po bliższem obliczeniu straty rzeczywiste wynoszą około 100 tysięcy.

Heron.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

EUGENJA ŻMIJEWSKA.

...Takiemi patrzały, bo innych nie miały. Czyli dwa punkty widzenia.

I.

LIST PANI MATYLDY BURLICHOWEJ DO MĘŻA.

Bratkowce, 25 lipca 1912 r.

Kochany Edwardzie!

Mimo, że jestem niepoprawną optymistką, jadąc tutaj przypuszczałam, że ta sielanka wiejska, nie będzie rozkoszna. Ale, żeby do tego stopnia! Rozczarowania zaczęły się już z chwilą, gdym wysiadła z wagonu, na stacji Baby... Patrzę, a tu z wagonu trzeciej klasy wysiada... Kto? Narzyńska! I ona jedzie do Bratkowiec. Miła perspektywa! Żona drobnego urzędniczka i przytem nie elegancka; nudna. To jedno. A powtóre: Mówili, że od stacji dwie mile, a jest opętane trzy i jakie drogi! To już nie gruda, nie wyboje, to karkołomna awantura. A w dodatku przysłali prostą brykę — nie na resorach. Co prawda, niema resorów, któreby wytrzymały taką przeprawę. I nie raczyli pomyśleć o furze pod rzeczy. Musiałam mieć wszystko przy sobie. Co koło zawadzi o głaz, to moja torba w górę, i za chwilę, z całym impetem — buch mnie w kolana, jak tłuczek w moździerz. A kosz japoński odskakuje od dna bryki i podbija mi nogi, jak tennisowa rakieta — piłkę. Co chwila oglądaj się i patrz za siebie, czy bandyci nie oderżnęli kufra, przytroczonego z tyłu! W rowach leżały jakieś podejrzane figury. A jeden drab, to tak patrzał, jakby dziesięć wsi podpalił i pięć kościołów zrabował. Wiesz, że nie jestem skłonna do posądzania ludzi, ale dałabym gardło, że nasz furman był z nimi w zmowie. Porozumiewali się znakami.

Widzę, że źle, przytomności jednak nie tracę. Znasz mnie. Więc niby od niechcenia, ale bardzo głośno, powiadam do Narzyńskiej:

— Mam zawsze przy sobie rewolwer. Strzelałam już nieraz do bandytów. Nie radzę się nikomu do mnie zbliżać!

Groźba poskutkowała. Do końca drogi był spokój... Dojechałam szczęśliwie, jeżeli szczęściem nazwać można sińce wielkości dłoni i towarzystwo Narzyńskiej.

Onaby się nie zdobyła na taką odwagę i, proszę cię, jak tu przyjedziesz, nie mów jej, że ja się boję broni, jak djabła. Chciałam być dla niej w drodze uprzejma—wiesz, że nie mam w sobie dumy — więc opowiadam to i owo, a ona kręci się, rozgląda, i z oczu widzę, że nie słucha. Warto się trudzić dla takiej!.. I nie rozumiem po co ją Staszewscy prosili? Bo, że nas, to co innego. Masz wysokie stanowisko w Banku, a ja jestem szykowna, elegancka, nie mówiąc już o twarzy: chcieli się nami przed sąsiedztwem popisać.

Ale Narzyńska? Ni to z pierza, ni to z mięsa. Była podobno guwernantką czy boną a teraz mieszka w trzech pokoikach w oficynie. I w dodatku „piłuje" każdego sprawami społecznemi i składkami... Wiesz, że ja nikogo nie posądzam, ale — przy pensji Narzyńskiego w Tow. Kredytowem nie p o w i n n o starczyć i na trzy pokoje... To ich rzecz... no i — trochę, co prawda — rzecz społeczeństwa.

...Naturalnie, jesteś ciekawy, jak wyglądają Bratkowce. Mieli też do czego — i na co prosić! To się nazywa dwór!.. Chałupa, i nawet nie pod gontem. Jakaś obrzydliwa czarna tektura, zamiast dachu. Pierwszy deszcz a wszystkie moje suknie na nic. Potrzebnie brałam tę najlepszą od Hersego. To twoja wina. Mówiłeś, że na wsi bywają większe przyjęcia niż w mieście. A tutaj wszyscy zadłużeni, ani im w głowie bale.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg „Czarnego chleba" Rodziewiczówny — w № 12-ym.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

7)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— Zwłaszcza armji, której niema, — podjął szaser. Tak moi panowie, armji rozgromionej, rozbitej, chorej, bezbronnej — tu już kawaleryjska fantazja nie wystarcza i trzeba mądrej głowy doświadczonego wojownika.

Ha, ha ciągnął, wiemy coś, mości panie, co znaczą te dowództwa królewskie. I król Westfalski nie tchórz, jako mniemam; osobistej odwagi możeby mu starczyło w potrzebie, a jak się to popisał braciszek kochany, kiedy mu cesarz dał korpus pod komendę. Kąpiele sobie brało królątko w Grodnie, przed damami majestat barwiło, a w splendor dworski zabawiało, a tymczasem Bagration ku Mohylowowi porządnie się cofał. Jak mnie tu waszmoście widzicie, mówił, zapalając się, to wam powiem, że tu się zaczęło nieszczęście. Wiem, bom na własne oczy widział, jako że od Grodna z pułkiem w przedniej straży iść mi wypadło. Mówię to i powtarzam: Gdyby nie jego królewskiej mości fanaberje, a zalecanki, a blizko dziesięciodniowe marudzenie, bylibyśmy księcia Bagrationa dognali, na kwaśne jabłko stłukli, cały jego czterdziestotysięczny korpus rozgromili, na szablach roznieśli, na wszystkie wiatry rozproszyli. Byłby mu wtedy Davoût klinem od flanku wjechał, od sił głównych, jak nożem oderżnął i kto wie, czyby się cała wojna na tem była nie skończyła.

— Hm, mruknął ułan — byłem i ja tam, szliśmy na Jeziory, Kobiele, Orany, Olkieniki do Wilna...

— Myśmy się wzięli prosto w dyrekcji na Mińsk i, prawdę mówię, raz wraz następowaliśmy nieprzyjacielowi na ogon, ale bitwy walnej przyjąć nie chciał.

— Mój Maliński, — przerwie znowu szaserowi inny ułan, — nie wiadomo jakby to tam było. Od razu pod złą gwiazdą się to zaczęło. Pomnę, przez pińskie błota szli my w takim kurzu i spiekocie, że czy koń siwy, czy kary jednej był maści. Przytem furażu na postojach nie było. Żywili my konie żytem w ziarnie, albo trawą świeżo koszoną od czego konie, co były w lepszym bycie ścierwa, raz wraz na apoplekcję padały. Nie było dnia, żeby do dwudziestu koni z szeregów nie ubyło. A przyszedł jeszcze ochwat, a znowu inne odpsuwały się straszliwie pod terlicami, ile, że jako rzekłem, spieka była okrutna, a nie było czasu koni przekulbaczać. Tym końcem nim do pierwszej potyczki pod Mirem doszło, połowa ułanów z mego szwadronu na koniach już nie siedziała. Co moment któryś z siodłem na plecach, wędrował na tyły... Pod złą gwiazdą to się zaczęło, pod złą gwiazdą!

— Ha, wszędzie pomyłki, pomyłki, pomyłki! powtarzano dokoła. Fatalne pomyłki!

— A największą, podkreślił ów oficer strzelców konnych, ba, złą wolą, uporem szatańskim, nieprzebaczalnem zaślepieniem, nikczemnością jest to, że księciu naszemu samodzielnego dowództwa nie oddano, że nasze wojsko, rozrzucono między tem całem świństwem posiłkowem, że nam nie pozwolono wystąpić, jako jedna armja narodowa. A zapytajcie waszmoście siebie: niech z ręką na sercu każdy powie, kto tu wojował kto bił się? Polacy i wszędzie polacy. Do czego były te niezwyciężone legiony, pokazało się przy pierwszych mrozach. Polacy wytrwali. My jedni dziś pod bronią i jako tako w szeregach. Jeżeli jeszcze ta garść nędzarzów, ciągnąca po trupim szlaku, jeżeli, powiadam, najmniejsza ich cząstka ujdzie z żywotem, nam to jedynie zawdzięczać będzie. Jest tu nasz książe, bohater nad bohatery, wódz nad wodze, a oto znowu dowództwo nad resztkami wojska powierzono Muratowi, pajacowi, który bez Napoleona kroku jednego nie zrobi, który wśród klęski głowę traci i kto wie czy już gdzie nie wziął nóg za pas i nie pomyka *incognito* za szwagierkiem — protektorem.

Nie, do kroćset, kończył, wierzcie mi waszmoście, w tym sposobie, już człowiek w sprawiedliwość boską zwątpić musi i, dalipan, niekiedy mniemam, azali nam ludziom przeniewierczym i nieżyczliwym dochować wiary należy.

— Nie bluźnij waszmość, kapitanie szanowny, rzecze surowo kirasjer. Rycerz polski ma jeden honor i jedno sumienie. Skorośmy stanęli pod orłami cesarza, już nam z pod nich z żywotem nie odejść, póki sam abszytu nam nie wypisze. Mówią u nas w pułku: „W dobrej wierze zdychaj kirasjerze“. Niech wiedzą ludy, że na sercu polaka budować można, jak na opoce. Wykruszą się raz sze-

regi — powstaną nowe, ale naród sławy raz straconej nie odzyszcze.

— Tak ci jest — odpowiedziało wiele głosów.

— A zatem zostawcie, koledzy szanowni, konsyderacje wysokie statystom, a sami spełniwszy obowiązek żołnierski, zanim oto Kostusia za kolet pochwyci, sprobujcie rosołu, którym tu zaprawdę *lege artis* przygotował. Delicje to będą przedziwne upewniam, bo weźcie panowie szanowni pod uwagę, żem się sztuki swej nauczył od kucharza pani Podolskiej, który to kucharz, francuz rodem, osobliwie z gotowania rosołu w całej Warszawie słynął.

Powstawali z ziemi oficerowie i strzepnąwszy śnieg ze siebie, zbliżali się do kotła. W tej chwili właśnie z grubej opony śniegowej, niby jakieś zjawiska czarodziejskie z za tarlatonowych obsłon w teatrze, zaczęły się wynurzać nowe postaci i stawały w oświetlonym kręgu ogniska.

Wracali nasi z pościgu. Wrócili nietylko wszyscy cało i zdrowo, ale wiodą oto ze sobą jakąś osypaną śniegiem niewiastę.

To panna Krystyna, zmyliwszy wśród zamieci drogę do domu, znalazła się niespodziewanie w obozie wracających z wielkiej wojny wojsk polskich.

Młody podporucznik drugiego pułku ułanów Bzowski i wachmistrz Piętak, którzy wypuścili się najdalej za uciekającymi kozakami, usłyszawszy w ciemności wołanie o pomoc, skoczyli w stronę, skąd głos dochodził. Wnet natknęli się na sanie. Stała w nich rezolutnie, gotowa do obrony, panna Krystyna. Z palcem na cynglu krócicy, z oczyma utkwionemi w tępe mroki, słysząc zbliżających się jeźdźców, nieco przerażonym głosem krzyknęła.

— Kto jedzie?

W tej chwili uczuła tuż nad sobą łeb koński, i zamiast odpowiedzi, jakiś miły głos męski zapytał po polsku.

— Do licha, co się tu dzieje. Co tu waćpani, czy waćpanna w polu porabia?

— Drogi szukam.

— Dokąd?

— Do Krasek.

— Hm, nie wiem, odpowiedział oficer, ale, do djaska, choćbym wiedział nie na wiele by się przydało, bo i djabeł tu drogi nie przewącha. Ale jak się to stało że kozacy impetem nie roztrącili sani i koni, bo walili kupą w tej właśnie dyrekcji. (d. c. n.)

SONET.

Są takie serca, w których głębi na dnie,
spoczywa ziarno fałszu i obłudy,
jak siew, co trafił na polu do grudy
i pół przymarły utkwił w niej bezwładnie.

Lecz gdy zły wicher na zagon się wkradnie,
niszczeją słońca w znoju dane trudy,
i zeschłe ziarno nie leży, jak wprzódy,
lecz niepodzielnie głębią serca władnie.

I wszystkie kwiaty więdną w sadach duszy,
ich woń się staje cuchnięciem zgnilizny,
i kąkol, niby zło czarne, się puszy.

I patrząc wtedy na wyplony ciemne
i na ugorny grunt, co zdał się żyzny,
widzi się serce kalekie, nikczemne.

Remigjusz Kwiatkowski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

56)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł Ryć, trzymający w ręce kartelusz bibulasty.

Wojewoda spojrzał na Szymona i mruknął niechętnie:

— Cóż to za fascykuł masz waćpan — hę?...

— Przyniosło go chłopisko stare, wojewodzeńku, ma tam być coś ważnego.

— Bzdury jakieś — mruknął wojewoda, biorąc pisanie ono z rąk Szymkowych.

Rozłamał pieczęć woskową — kartelusz od oczu oddalił i czytał...

Nagle krew w łeb mu uderzyła, żyły nabrzmiały i sine, niby gady, opasały skroń, czoło i szyję...

— Wody! — zakrzyczał ksiądz.

Zrobiło się zamieszanie.—Ryć ku drzwiom skoczył - ale wojewoda ochłonął szybko i zapanował nad wrażeniem, wywołanem listem Kukułki.

— Stój, wasze!.. spokojnym choć dławiącym odezwał się głosem... Tu nie tej lury mi potrzeba — tu... Niech otchnę—rzekł po chwili — a zmysły pozbieram... thu... mruknął — — Życie mści się... przeszłość mści się... alem nie trupem jeszcze — —

— Co waści jest?

— Wojewodzeńku!.. — odezwał się razem ksiądz i Szymek — —

Wojewoda spojrzał na klepsydrę...

— Północ dochodzi —

Zwrócił się do Rycia — i podał mu kartelusz — —

— Przeczytaj i milcz, jak grób!..

Znów spojrzał na klepsydrę, w której cicho, przesypywała się ostatnia nić piasku.

Ksiądz chciał się odezwać —

— Pst!.. przykładając palec do ust, szepnął wojewoda... Nić pękła!..

Ryć przerażonemi oczyma patrzał na pana, który odetchnął głęboko i zwracając się do księdza i Przemka, w osłupieniu stojących — rzekł spokojnie:

— Przy tem dziecku pozostań dobrodzieju!.. nie dla niego widok hańby ojcowskiej — —

Z temi słowami opuścił komnatę. Za nim posunął się Ryć... — —

Zrobiło się ogromnie cicho. Ksiądz szeroko otwartemi oczyma patrzał za odchodzącym wojewodą krokiem poważnym, Przemko, jakby się ze snu obudził, zbierał rozproszone myśli, które, jak rwące się pasma nici splątanych, rozpryskiwały się co chwila. Na kominie trzaskały dopalające się żuzle, w powietrzu wisiały groza i przerażenie. Ksiądz podzwaniał zębami i trząsł się lekko, ale okropny był stan duszy Przemkowej. Myśli odmawiały mu posłuszeństwa, pamięć okamieniała; miał czegoś okropnego przeczucie, a nie mógł znaleźć wyrazu dla tego widma, które rysowało się przed nim mgliste, niepewne a jednak tak potwornie straszliwe.

Nagle — z dalekich komnat, czy korytarzy dalekich — dobiegł krzyk głośny i jęk i płacz i grom piersi pana wojewody. I oto błysk piorunowy roztrzaskał się pod sklepieniem czaszki Przemka — wróciła świadomość, pamięć chwili i rozgrywających się w tej chwili wypadków.

— Co to jest? co tam się stało?.. ksiądz rzucił — —

— Jezus, Marja! zakrzyczał Przemko — Jezus... Marja!..

I runął w drzwi — —

W chwili, gdy wojewoda z Szymkiem opuszczali komnatę, w tej chwili właśnie unosiła Perełka kaganek swój ku górze i wskazując na wpół uchylone drzwi sypialni pani wojewodziny, do Jasieńca się zwracała, szepcąc:

— Tutaj!..

Rycerz przez próg skoczył, kotarę rozsunął i nie miał czasu pomyśleć, gdzie jest i co ma czynić, gdy, czekająca na przyjście miłego pani Dominika, wionęła, jak wiatr i z krzykiem szczęścia, z krzykiem, który nie powtarzał się raz drugi — w ramiona jego padła.

— Moja! — moja! — zawołał Jasieniec — —

I znalazły się przy ustach usta, pierś przy piersi — — —

O! ta pierś — jak wielkim westchnęła oddechem!.. o, to serce — jak ono zatargało się silnie... Uderzyło raz tylko, tylko raz jeden — i... pękło!.. rozwiązały się ramiona ukochane, rozplątał się wieniec uścisków — zdawało się że róża biała odpadła od piersi rycerza, którą on pochwycił, ze strachem przerażenia. Wtedy krzyk wstrząsnął powietrzem i doleciał do komnat wojewodzińskich — krzyk ten wypadł z piersi Jasieńca, gdy martwe ciało kobiety przez jego przelało się ramiona.

Słychać Perełki płacz, zmieniony w jęk lamentu — i czyjeś kroki, mącące ciszę korytarzów.

Jasieniec runął do stóp umarłej... Szloch głuchy, niby ryk lwi, rozrywał pierś jego, rozpaczne palce włos targały.

Wtem szpony czyjeś w kark mu się wpiły, jakieś pęta skrępowały mu ręce — —

To Rycia pięście żelazne zaciężyły na barkach Jasieńca. (d. c. n.)

MARJA SIK.

TRZY RÓŻE PONSOWE.

(Z szwedzkiego).

Na tarczy herbowej rycerzy Annabergów widnieją trzy róże ponsowe, na pamiątkę cudownego zdarzenia, jakie przed wiekami zaszło w ich rodzie.

Jeden z przodków tego domu udał się w podróż do Ziemi Świętej, aby wyprosić sobie przyjście na świat syna.

Powróciwszy do domu z pielgrzymki, zastał żonę, piastującą przy piersi dorodne chłopię. Uniesiony gniewem rycerz, omal, że nie uśmiercił małżonki, podejrzewając ją o zdradę.

Młoda kobieta, tonąc we łzach, zapewniała, że jest niewinna.

— Uwierzę ci dopiero wówczas, — rzekł mąż, gdy ta zeschła rózga cierniowa wypuści pąki i pokryje się różami.

Nieszczęśliwa, ująwszy gałąź, zamknęła się w swojej sypialni i spędziła tam na modlitwie i płaczu trzy dni i noce, a co rano na suchej gałęzi wykwitała przepyszna róża ponsowa.

Czwartego dnia stawiła się przed mężem. Wzruszony do głębi rycerz rozkazał, aby odtąd wyobrażenie trzech róż ponsowych widniało na tarczy herbu Annabergów.

Bohaterem niniejszego opowiadania będzie jeden z przedstawicieli tego rodu, który nietylko że się odznaczał czystością obyczajów, ale i upodobaniem do sztuk pięknych i nauk.

Rycerz Adalbert wyróżniał się pięknością i odwagą, nie czuł on jednakże wielkiej skłonności do zwycięstw bojowych, przyszedł bowiem do przekonania, że istnieją daleko ważniejsze i wyższe cele.

Doskonały znawca łaciny, spisywał stare księgi kościelne, sam nawet stworzył dwa hymny. Wieczorem, gdy inni rycerze pogrążeni byli we śnie, lub też spędzali czas w rozwiązłości i próżniactwie, on ze szczytu wysokiej wieży pałacowej śledził gwiazdy na firmamencie.

A gdy nadszedł czas żeniaczki, wybór jego padł na córkę hrabiego Kastabell. Była ona spadkobierczynią starożytnego rodu i otrzymała nader staranne wychowanie, dzięki zabiegom owdowiałego ojca.

Gdy stary hrabia Urban powiedział pannie Emerencji jakie żywi zamiary rycerz Adalbert, odparła, że jest on nie dla niej. Zna go doskonale. Wszak to on, nie bacząc na towarzystwo najpiękniejszych kobiet, zapatrzony jest w przestrzeń, jak gdyby nawet wśród słonecznego blasku spostrzegał tam wyobrażenie gwiazd. Widok też choćby najdrobniejszego skrawka pargaminowego sprawia, że oczy jego goreją, a twarz pokrywa się rumieńcem. Ostatnio, gdy oboje wraz z ojcem zajechali przed zamek Lichtenbergski, zastali go na dziedzińcu zamkowym w gronie innych gości. Jakże się nagle ożywił, zwłaszcza, że tuż za nimi wyłonił się czarny benedyktyński kaptur opata Luciusa. Śmie prosić o jej rękę! Wyprostowała się dumnie i zaprzeczyła ruchem głowy.

— Znane to rzeczy, — rzekł gniewnie hrabia Kastabell, — każda kobieta jest przewrotną. Rycerz Annaberg posiada zbytnie wykształcenie, a serce z lodu, gdyby zaś o rękę twoją ubiegał się rycerz Fürstenberg, twierdziłabyś, że jest nieokrzesany i ordynarny. Lecz daremne są wszelkie dąsy, hrabia Adalbert oświadczył się o ciebie, wielki to dla nas zaszczyt i będziesz jego żoną. Jutro zgłosi się tu po odpowiedź.

Panna Emerencja udała się do swojej komnaty, trzasnąwszy drzwiami z taką siłą, że ściany zamku zadrżały. Poczem rzuciła się na krzesło i okrywszy twarz falą włosów, dnia tego nie wyszła już z pokoju.

Stara niania, która zwyczajem swoim siedziała w kącie komnaty, zbliżyła się do panienki i zwijając długie jej sploty, nuciła ludową piosenkę:

„Czemu on to, czemu on to
Czemu w wrota puka?
Pięknej żony sobie szuka!"

Panna Emerencja powtórzyła półgłosem: „Pięknej żony sobie szuka", poczem uśmiechnęła się gorzko.

— Nawet nie wie, czy jestem brunetką, czy też blondynką.

— Dziwny człowiek! — potwierdziła staruszka.

— To nie człowiek, a zeschły kij. Wyszłabym raczej za pierwszego lepszego włościanina, aniżeli za niego!

Basia przysunęła się do panienki:

— Bywało to, że i sucha gałąź wydaje pąki — bywało.

Panna Emerencja ujęła ręce nianki i przytknęła je do gorejących lic.

— Jakże mądra jesteś Basiu, jak wszystko pojmujesz, lecz czy to możliwe.

— Dziecię moje, — odparła kobieta, — wystarczy zeschłą gałąź obryzgać krwią serdeczną.

Pod wieczór dnia następnego zajechał konno przed zamek rycerz Adalbert w towarzystwie wuja. Staruszkowie niezwłocznie zasiedli do szachów. Dwie świece w ciężkich lichtarzach rzucały słabe blaski w głąb wielkiej nawpół ciemnej komnaty.

W pobliżu niszy okiennej siedział rycerz Adalbert z panną Emerencją. Promień zachodzącego słońca igrał na ścianie — z ogrodu płynęła woń kwiatów. Dokoła rozlewał się przepych dnia letniego.

Rycerz Adalbert nie widział tego wszystkiego. Myśl jego błądziła gdzieindziej. Rano opat Lucius przysłał mu starodawny rękopis, który zaczął już przepisywać. Farby jednakże nie zdołały jeszcze wyschnąć, gdy zmuszony był wszystko rzucić i jechać do Kastabell. Obecnie trawił go niepokój, że wiatr rozniesie wyznaczone arkusze, a wówczas cała jego praca pójdzie na marne.

Właśnie, gdy decydował się jaknajprędzej zakończyć sprawę, która go tu przywiodła, a roz-

strzygniętą była w zasadzie, wyrwał go z zadumy głos dziewczęcy. Pierwsza przerywała milczenie.

— Rycerzu! — rzekła, — nie obce mi są twoje zamiary, wiem także, ojciec dał ci swoje przyzwolenie. Powiem ci jednak słów kilka, a niezawodnie zamysły twoje się zachwieją.

Hrabia Adalbert zaniepokoił się nieco.

— Może pragniesz mnie pani uprzedzić, że nie posiadasz łaciny. Mniejsza o to. Przyznam nawet, że rad jestem z tego.

Panienka wyprostowała się dumnie.

— Istotnie, nie znam łacińskiego języka, — rzekła, — sądzę jednak, że potrafiłabym się go nauczyć, gdybym chciała. Nie o to mi chodzi — niezawodnie zdziwi się pan niezmiernie.

Zatrzymała się na chwilę, poczem cicho, lecz dobitnie dokończyła:

— Kocham innego!

Rycerz wzdrygnął się i zdumiony spojrzał na nią.

Była mała i drobna, odziana w skromną suknię niebieską. Na ciemnych, krętych włosach widniała złota siatka. Rumieńcem kwitły jej policzki, długie rzęsy nadawały jej wyraz dziecinny. Cała jej postać skąpana była w lśnieniach zachodu.

— Co to znaczy, pomyślał młodzieniec. Czyżby się przesłyszał.

— Co pani powiedziała, — zapytał obojętnie.

Panienka powtórzyła tak samo cicho, lecz bardziej jeszcze stanowczo:

— Kocham innego! Po chwili zaś dodała:

— Teraz to już pan nie zechce ożenić się ze mną!

Zamruczał coś niewyraźnie.

I pomyśleć, że młoda osoba ośmieliła się mężczyźnie powiedzieć coś podobnego!

To go rozgniewało. Poza tem, ktoby to mógł być?

— Pan zechce oświadczyć mojemu ojcu, żeś pomówił ze mną — i... zatrzymała się. — Zresztą rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy.

Czy to możliwe. Zdaje się, że ją zna, fakt jednakże, że głos jej dzisiaj dopiero usłyszał.

— Oświadcz pan ojcu, że rozmówiłeś się ze mną, że się panu nie podobam, żeś się rozmyślił.

Że mi się nie podoba, powtórzył rycerz w duszy z uśmiechem spoglądając na dziewczynę. Złota siatka lśniła w jej włosach.

— Tego nie mogę powiedzieć, toby go obraziło, zresztą nie zgadza się to z prawdą. Czemu się pani sama tego nie podejmiesz, czemu nie rzekniesz że...

— Słów moich nie weźmie wcale w rachubę, — upierała się panienka, — postanowił bowiem wydać mnie za pana.

Rycerz Adalbert pomyślał, że istotnie nie warto kaprysów młodej dziewczyny brać pod uwagę, głośno zaś powtórzył:

— Przemocą nie wezmę sobie żony, to się rozumie. Wyznam hrabiemu, żeś mi pani nie przypadła do gustu.

— Nie, niech pan tego nie mówi, to na zawsze zatruje mu spokój.

— A więc, — zapytał, — czemu to ów rycerz nie uda się wprost do hrabiego?

— On, — bąknęła, — on nie przypuszcza nawet, że ja... Nie myśli wcale o mnie.

Nowa fala słodkiego zapachu wpłynęła do komnaty poprzez otwarte okna. Rycerz westchnął głęboko. Co to wszystko znaczy? Kim jest ów tajemniczy upragniony? Prawdopodobnie jakiś lekkoduch, który nigdy dotąd jej nie spostrzegł. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Ach, te kobiety!

Nagle panna rzekła zupełnie serjo.

— Hrabio Adalbercie, chcesz mi pan pomódz? Jestem taka samotna, nie mam matki, ani braci...

Naturalnie, że się zgodził. Czyż mógł inaczej postąpić, gdy kobieta zwraca się do niego.

— Najlepiej będzie, gdy powiesz ojcu, że sprobujesz mnie do siebie przywiązać. W ten sposób wygram na czasie, — rozumie pan?

— Na czasie — po co?

— Ot, żeby wiedzieć... A winieneś pomagać mi we wszystkiem. Czy mogę mu zaufać?

— Rozumie się — rzekł.

W tej chwili rozległ się hałas suwanych krzeseł. Obaj panowie podchodzili ku młodym.

— Jutro ojciec mój wybiera się na polowanie, — dodała panna Emerencja pospiesznie. — Może mnie pan odwiedzić, będę w ogrodzie róż. Rozważymy wszystko swobodnie.

W drodze powrotnej rycerz Adalbert nie posiadał się z irytacji. Czego bo właściwie żąda od niego ta dziewczyna?

Gdy postanowienie swoje wyraził hrabiemu, starzec zdobył się na uwagę, iż dziwne to, że pragnie dążyć bocznemi ścieżkami gdy droga prosta stoi przed nim otworem. Okazał się więc jeszcze śmiesznym w dodatku. Rezultatem zaś całej tej przygody będzie świeżo nawiązany stosunek z owym... Ciekawe kto taki? Czy aby nie rycerz Fürstenberg, ów siłacz, o dłoniach rzeźnika. Mówią one same za siebie i dają do zrozumienia, że dla kobiet, tak jak i dla psów — batog winien być w pogotowiu.

Dziwne, że młodym pannom właśnie tacy przypadają do smaku!

Tak to on, on niezawodnie. Ostatnio u Lichtenbergów, gdy pogrążony był w rozmowie z opatem Luciusem, Fürstenberg nadskakiwał zawzięcie pannie Emerencji, ona zaś głośnym śmiechem i zachowaniem się zbyt swobodnem zwracała ogólną uwagę.

Rad jest, że się tak stało. Nie jest to materjał na posłuszną i potulną małżonkę. Wiele jest młodych osób dorodniejszych i bogatszych od niej.

Rycerz Adalbert próżno usiłował sobie uprzytomnić rysy owych dam. Za każdym razem stawała mu przed oczami ciemna kędzierzawa główka, opasana złotą siatką i dziecinna twarzyczka. Nie, to było nie do zniesienia. Jednocześnie wuj nie przestawał zachwalać win hra-

biego i zachwycać się dziewczęciem, przyczem serdecznie winszował siostrzeńcowi. To bardziej jeszcze drażniło rycerza. Owego też wieczora udał się na spoczynek, zapomniawszy zupełnie o rękopisie.

Gdy zaś rano myśl jego zahaczyła o manuskrypt, tem większą żywił niechęć do panny Emerencji, jej to bowiem kaprysy odrywały go od pracy. Należy z tem skończyć. Odmówiła mu, niema więc po co jeździć więcej. Powie to jej dziś jeszcze.

Gdy znalazł się w Kastabell, zaprowadzono go do ogrodu róż. Było to niewielkie ustronie w samym zakątku tuż za ogrodzeniem. Widok tej przepysznej piędzi ziemi najzupełniej rozbroił rycerza Adalberta, przypomniał mu bowiem ogród przy klasztorze świętej Klary w Assyżu, dokąd się był udawał wraz z opatem Luciusem.

Panna Emerencja w towarzystwie niani przechadzała się po ogrodzie.

Przywitawszy się z rycerzem, przedstawiła mu staruszkę.

— To moja wierna Basia, — rzekła — usposobieniem najzupełniej przypomina dziecię, a mądrością i dobrocią, przewyższa nas nieskończenie.

Z ogrodu schody prowadziły na podmurowanie, okalające posiadłość. Stała tam ławka kamienna. Z niej to czarowny słał się widok na okolicę.

Panna Emerencja weszła na schody. W ślad za nią podążył rycerz. Oboje usiedli na ławie.

— Widzi pan, — zaczęła, układając fałdy sukni, — zdecydowałam się mu powiedzieć, że muszę koniecznie dociec, jakie dla mnie żywi uczucia ów rycerz, o którym wspomniałam. Liczę na pana w tym względzie.

— Jak się nazywa? — zapytał młodzian natarczywie.

— Nie spiesz się pan, powiem to później, gdy będziemy na dole. Jeśli mnie nie kocha, pójdę do klasztoru.

— Do klasztoru, — oburzył się rycerz, — z takimi różowymi policzkami i złotą siatką we włosach?

— Do klasztoru? -- powtórzył, — poco? Czyż jest jedynym mężczyzną na świecie?

— Dla mnie jedynym -- stanowczo odparła panna.

W sercu rycerza zawrzało.

— Chciałabym wiedzieć — ciągnęła w dalszym ciągu dziewczyna, — jak zapatruje się on na miłość. Oświeć mnie rycerzu co do pojęć panów pod tym względem.

Jemu przyszedł na myśl Fürstenberg, więc odparł:

— Uważają miłość za przyjemną rozrywkę, która koniec końców się przykrzy.

— Czy jednogłośne to zdanie? — pytała.

— Mniej więcej — odparł, wzorując się i tym razem na Fürstenbergu.

— Jakie to smutne, — westchnęła panienka. — Za podobnego człowieka nie wyjdę nigdy. Tem więcej też zależy mi na poznaniu zapatrywań jego pod tym względem.

— Jeżeli więc pani tylko przelotnie zna owego rycerza, w jaki sposób stało się, żeś go pani pokochała tak namiętnie? — zagadnął.

Twarz jej okryła się rumieńcem.

— Nie wiem, — rzekła. Gdym go ujrzała, stanęłam olśniona, niby pod wpływem jarzących się promieni. Serce moje zadrżało, a cały świat skąpał się w blasku. — Zamilkła, poczem ciągnęła dalej. — Uważam, że miłość, to słońce! Jest ono najwyższe, najczystsze, najjaśniejsze. Podtrzymuje bowiem w człowieku światło i ciepło. Czy nie tak?

-- Tak, — potwierdził bezwiednie.

(dok. nast.)

MAREK TWAIN

Opowiadanie chorego.

HUMORESKA.

(Dokończenie).

Lecz odpowiedź moja przeszła bez wrażenia. Thomson oświadczenie to przyjął z miną obrażoną, która najdobitniej mówiła: „Chcesz powiedzieć, dwa czy też trzy miesiące". Poczem bez względu na moje zapewnienie począł rozwijać teorję, co do poważnych niewłaściwości, które mogą powstać skutkiem zbyt długo odkładanego pogrzebu. Następnie postąpił nieco ku pace, przyglądając się jej przez chwilę i szybko powrócił, aby nos wysadzić po za wybitą szybę, bełkocząc:

— Postąpiono by w każdym razie racjonalniej, wysyłając biedaka przed miesiącem.

Thomson usiadł, kryjąc twarz w ponsowej chustce, kołysał się z jednej strony na drugą, jak człowiek, który czyni wszelkie wysiłki, aby ostać się wobec sytuacji niesłychanie przykrej.

W tej chwili woń—nie wiem, czy używam właściwego wyrażenia — dławiła mnie niemal. Twarz Thomsona stała się szara i z mojej uciekła resztka krwi. Teraz Thomson podparł czoło lewą dłonią, łokieć położył na kolanie i zrobił nim znak w kierunku skrzyni.

— Już niejednego woziłem — mówił — znajdowali się nawet pomiędzy nimi tacy, co pachnieli — lecz żaden z nich nie mógł się z nim równać. To jest heliotrop w porównaniu z tamtymi.

Podobał mi się ten komplement, wypowiedziany pod adresem mego nieszczęśliwego druha, ogarnęła mnie więc wdzięczność.

Należało coś przedsięwziąć, to było jasne. Podsunąłem myśl o cygarach. Thomson podjął ją skwapliwie.

— To może mieć jakiś wpływ na niego — zadecydował.

Przez jakiś czas paliliśmy w milczeniu, wmawiając w siebie, że rzeczy mają się ku lepszemu. Lecz wszystko było daremne, niemal, że jednocześnie wypadły nam cygara z ust, a Thomson rzekł z westchnieniem:

— Nie kapitanie, nie zmieni go to ani na jotę. Zdaję mi się nawet, że jest gorzej jeszcze. Co teraz poczniemy?

Nie czułem się zdolnym do żadnej zgoła propozycji, a ponieważ ciagle musiałem łykać ślinę, powstrzymałem się od mówienia.

Tomson tymczasem mruczał niechętnie i recytował długie tyrady, rozwodząc się nad smutną swoją dolą. Nieboszczyka określał teraz różnymi tytułami, mieniąc go raz hrabią, to znów margrabią, pułkownikiem i generałem. Wogóle zauważyłem, że im więcej biedny zgasły daje się nam we znaki, w tem większe rośnie on dostojeństwa i godności. Wreszcie Thomson zawołał:

— Mam myśl! Gdybyśmy tak we dwójkę przenieśli pułkownika na drugi koniec wagonu?! Nie miałby już takiego wpływu, co?

Zgodziłem się, że plan ten jest znakomity. Posiłkując się więc otworem zrobionym w szybie, zaopatrzyliśmy się w znaczny zasób świeżego powietrza i zbliżywszy się do skrzyni pochyliliśmy się nad nią.

Thomson skinął teraz głową na znak, że wszystko pójdzie dobrze, zabraliśmy się więc ochoczo do roboty, wysilając się nadludzko. Thomson jednakże pośliznął się i nosem trącił o sąsiednie pudło.

Zaczerwienił się, zakrztusił, podskoczył i jednym susem znalazł się na platformie. Torował sobie przejście rękami, krzycząc: „Precz z drogi, precz!., umieram! ,,Usiadłem więc na platformie wśród lodowatego zimna, podtrzymując głowę nieboraka. Przychodził do siebie i rzekł po chwili.

— Jednakże cofnęliśmy nieco generała, hę!

— Co to, to nie, nie ruszył się nawet—odparłem.

— Więc cała ta praca poszła na marne! Należy coś lepszego wynaleźć. Widocznie tak mu dobrze, a jeśli wbił sobie do głowy, że nie chce by mu przeszkadzano, możesz być pewny, że wszystko dziać się będzie podług jego woli. Należy go zostawić w spokoju, bezwątpienia, bo jak panu wiadomo, znane mu są obecnie wszystkie węzły łączące nas z tym światem, a każdy ktokolwiek coś zrobi mu na przekór, będzie miał niejedną nić do odwikłania.

— Lecz nie sposób było pozostać na dworzu wśród tej okrutnej zamieci, zmarzlibyśmy niewątpliwie. Zatem należało powrócić, zamknąć drzwi i cierpieć w dalszym ciągu, wychylając głowę kolejno przez zbitą szybę. Po jakimś czasie, gdyśmy wyruszali z jednej ze stacji po chwilowym postoju pociągu, Thomson wskoczył wesoło do furgonu, wołając:

— Ocalenie nasze jest już blizkie, wiem czego potrzeba temu panu. Teraz przełamiemy jego upór, choćby sam djabeł w nim siedział.

Była tu mowa o kwasie karbolowym; konduktor zdobył całą butlę tegoż i począł nim niezwłocznie skrapiać wagon, zwłaszcza starannie oblał skrzynię i pakunki znajdujące się na wierzchu. Siedliśmy po trudach, pełni nadziei, lecz, niestety, nie trwało to długo. Oba zapachy się zmieszały no i.....!

Nie było innej rady jak szukać znowu drzwi i wydostać się na platformę.

Na zewnątrz Thomson otarł znowu twarz spoconą i rzekł do mnie złamanym głosem:

— To napróżno. Nie możemy z nim walczyć. Przywłaszcza sobie wszystkie zapachy, miesza je z własnym odorem i oddaje nam je z procentem! Czy wiesz kapitanie, że teraz tam powietrze o sto razy jest gorsze, niż w początku naszej podróży. Żaden jeszcze z jego poprzedników nie brał zadania swojego tak na serjo i nie wkładał w to tyle zapału, jak ten oto! Żaden, powtarzam!

A długo już jestem na stanowisku i woziłem już całe transporty trupów.

Przemarzli prawie na śmierć, wróciliśmy na miejsca, lecz teraz w żaden sposób, nie można było tu pozostać. Spacerowaliśmy więc tam i z powrotem, marznąc, pocąc się i drżąc na przemiany.

Po godzinie, gdy pociąg przystanął na jakiejś stacji, Thomson ukazał się, dźwigając obszerny worek. Zdaleka już wołał.

— Kapitanie, raz jeszcze zrobimy próbę, a gdy i ta się nie uda musimy się poddać woli Opatrzności!

Wysypał z worka niesłychaną moc starych gałganów, pierza, zgniłych jabłek, znoszonych butów, liści tabaki i t. p. Rozłożył te śmiecie na blasze i podpalił.

Gdy szmaty i odpadki zaczęły się palić, zadałem sobie pytanie, w jaki sposób sam zmarły oprzeć się może gryzącemu i smrodliwemu dymowi. — To wszystko cośmy dotąd znosili zdało się nam łagodnem wobec tej zapowietrzonej fali. Co najdziwniejsze, zasadniczy zapach unosił się po nad tem wszystkiem bardzej przenikliwy niż kiedykolwiek. Inne wonie potęgowały go jeszcze.

Było to coś okropnego, potwornego, na określenie czego brak mi wogóle wyrazu.

Rozpamiętywań tych nie czyniłem w wagonie, lecz na platformie na której się schroniłem. I Thomson podążył ku drzwiom, lecz zachłysnął się i upadł. Schwytałem go za poły i pociągnąłem na ganek, poczem na wpół zemdlałem.

Gdy orzeźwiło nas powietrze, konduktor odezwał się głosem grobowym.

— Niema rady musimy pozostać na dworze. Gubernator życzy sobie odbyć podróż bez towarzystwa — trzeba poddać się jego woli —

— W dodatku jesteśmy zatruci, dodał po chwili. To ostatnia nasza podróż. Tyfus nas nie minie, już czuję gorączkę. Niebawem będziemy na tamtym świecie.

. . . .

Po godzinie na stacji następnej wywleczono nas z platformy bez przytomności z odmro-

żonemi rękami i nogami. Przez trzy tygodnie walczyłem w szpitalu ze śmiercią, poczem dowiedziałem się, że dopuszczono się karygodnej omyłki i że owej straszliwej nocy piastowaliśmy skrzynię z amunicją, podczas gdy młody ajent sumiennie odwoził ciało mojego przyjaciela do Towarzystwa Strzelniczego w Iliinois. Dowiedziałem się również, że przesyłka złożona na mniemanej trumnie, zawierała transport wyśmienitego sera, Sumberger, który jest rozkoszą smakoszy. Nie znałem wówczas właściwości pachnących owego sera... nie znałem ich, niestety!

Wszystkie te rewelacje przyszły o wiele zapóźno. Wyobraźnia zrobiła swoje i podkopała zdrowie moje na zawsze. Odtąd próżno zwiedzałem najrozmaitsze stacje klimatyczne. Obecnie odbywam ostatnią podróż. Wracam do domu, by tam umrzeć!

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

5)

Zazdrosny Estremadurczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nietłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

Tymczasem los, który zdawał się coraz to bardziej sprzyjać sprawie Loaysy, w chwilę po odejściu niewiast (a było już po północy), przywiódł przed dom jego przyjaciół. Ci uczynili umówiony znak, a Loaysa usłyszawszy głos trąbki (gdyż ten był ich sygnał), przemówił do nich. Zdał im sprawę ze stanu, do którego doprowadził swe usiłowania i zapytał, czy przynieśli ze sobą proszek, o jaki ich prosił, albo inny środek, za pomocą którego mógłby uśpić Carrizalesa. Powiedział im również, że klucz główny od domu ma przyobiecany.

Oni odparli, że proszek, czy maść odpowiednią przyniosą następnej nocy, a środek ten jest nader skuteczny, gdyż dość nim posmarować puls i skronie człowieka, aby sprowadzić nań sen głęboki a tak długotrwały, że nie obudzi się przez dwa dni i dwie noce, jeśli nie obmyć mu octem posmarowanych części ciała. Co zaś do klucza, powiedzieli, że bez trudu każą go sporządzić, gdy będą mieli wycisk w wosku. To rzekłszy, pożegnali się i odeszli.

Loaysa i jego uczeń przespali resztę nocy. Loaysa z niecierpliwością wyglądał nocy następnej, ciekawy, czy jego słuchaczki spełnią obietnicę i dadzą mu wycisk klucza. A choć czekającemu wydaje się zazwyczaj, że czas płynie powoli i leniwie, w końcu jednak myśl samą prześcignąć jest zdolny i dobiega wreszcie upragnionego celu, gdyż nie zatrzymuje się nigdy i nie zna wytchnienia.

Nadeszła tedy noc i godzina, o której zwykłe już były schodzić do galerji wszystkie służebnice, duże i małe, czarne i białe, stare i młode. Przyszły wszystkie, gdyż wszystkie żądne były ujrzeć pana muzykanta wewnątrz swego seraju; ale nie przyszła wraz z niemi Leonora, a kiedy Loaysa zapytał o nią, odpowiedziały, że ułożyła się do snu u boku swego męża, który zamykał na klucz drzwi sypialni i kładł następnie klucz pod poduszkę. Otóż ich pani powiedziała im była, że gdy stary uśnie, postara się wydobyć klucz główny z owego ukrycia i odcisnąć go w bryle wosku, którą miała przy sobie, umyślnie na ten cel przygotowaną, one zaś miały wkrótce udać się do przyległego pokoju i poprzez otwór w drzwiach z jej rąk odcisk odebrać.

Zdumiał Loaysa, słysząc, do jakich sposobów uciekał się oględny starzec, nie osłabiło to jednak bynajmniej jego pragnień i gdy tak z pokojówkami rozmawiał, usłyszał nagle głos trąbki. Pobiegł do drzwi od ulicy i zastał tam swych przyjaciół. Podali mu oni przez otwór w ziemi wykopany, słoik obiecanej maści, o której własnościach już poprzedniej nocy mu powiadali.

Wziął Loaysa słoik i kazał im zaczekać chwilę mówiąc, że da im wzór klucza. Wrócił do drzwi prowadzących na galerję i polecił ochmistrzyni, która bardziej niż inne zdawała się pragnąć jego wejścia na pokoje, aby zaniosła słoik swej pani, Leonorze, powiedziała jej o własnościach owej maści i kazała posmarować nią męża, ale tak ostrożnie, iżby nic nie poczuł, a cudowny skutek miał się okazać niezwłocznie.

Uczyniła ochmistrzyni co Loaysa jej polecił i gdy do drzwi się zbliżyła, zastała czekającą już na nią Leonorę, która, na ziemi rozciągnięta, jak długa, przyłożywszy twarz do kociego dołku pod drzwiami się znajdującego, wypatrywała nadejścia którejś z pokojówek. Ochmistrzyni w ten sam sposób rozciągnęła się na ziemi i, przyłożywszy usta do otworu, powiedziała szeptem do ucha swej pani, że przynosi ze sobą obiecaną maść, poczem udzieliła niezbędnych wskazówek, jak sobie z nią należy poczynać, aby zamierzony wywarła skutek.

Leonora, wziąwszy maść, powiedziała ochmistrzyni, jako w żaden sposób klucza nie mogła dostać, gdyż mąż jej nie schował go był, jak zazwyczaj, pod poduszkę, ale między dwa materace, w ten sposób, że całym ciężarem ciała na nim spoczywał. Kazała jednak powiedzieć mistrzowi, że jeżeli maść skuteczną się okaże, z łatwością można będzie klucz dostawać za każdym razem, kiedy okaże się tego potrzeba i w ten sposób zbyteczną już będzie rzeczą wyciskać go w wosku. Kazała jej iść zaraz, powtórzyć mu te słowa i szybko wracać, aby przekonać się jak maść działać będzie, gdyż bez zwłoki zamierzała posmarować nią męża.

Ochmistrzyni zeszła do galerji i powtórzyła mistrzowi Loaysie, co jej pani powiedziała, on zaś polecił odejść swym towarzyszom, którzy przed domem na klucz czekali.

Drżąc, krok za krokiem i wstrzymując oddech, podeszła Leonora do łoża i ostrożnie posmarowała maścią tętna swego zazdrosnego małżonka; następnie w ten sam sposób posmarowała mu nozdrza, a gdy do nich palec zbliżała, zdało się jej, że śpiący drgnął i zamarła od trwogi, wyobrażając sobie, że już ją przyłapano na gorącym uczynku. Wreszcie, posmarowała, jak mogła najlepiej, wszystkie miejsca, które jej wskazano i było to, jakgdyby balsamowała męża, nim go do grobu zaniosą.

Krótką chwilę tylko dały czekać na siebie cudowne skutki dobroczynnej maści nasennej, gdyż niezwłocznie stary począł chrapać tak donośnie, że z ulicy usłyszeć go mogli przechodnie, a była ta muzyka uszom młodej małżonki przyjemniejsza prawie, niż śpiew mistrza, którego jej murzyn do domu wprowadził.

Nie dowierzając jednak jeszcze temu, co jej oczy widziały, podeszła doń bliżej i trząść nim poczęła, zrazu zlekka, potem silniej i jeszcze silniej, aby przekonać się czy się nie obudzi. Tak się wreszcie ośmieliła, że całkowicie odwróciła go na łożu, co mu również snu nie przerwało. Gdy przekonała się, że mocno śpi, pochyliła się ku otworowi pode drzwiami i równie cicho, jak poprzednio, zawołała na ochmistrzynię, która w sąsiednim pokoju już czekała:

— Powinszuj mi, siostro miła, — rzekła, — Carrizales śpi, jak zabity.

— Czemu więc zwlekasz, pani i klucza nie wydobywasz z ukrycia? — rzekła ochmistrzyni. — Wszak nasz muzykant czeka już przeszło godzinę.

— Poczekaj, najmilsza: za chwilę klucz przyniosę — odparła Leonora.

Wróciła tedy do łóżka i, wsunąwszy rękę między materace, wyjęła klucz, który się tam znajdował, przyczem stary nie drgnął nawet. A gdy ujrzała się nareszcie z kluczem w ręku, poczęła skakać z radości; następnie, nie czekając już dłużej, otworzyła drzwi i pokazała swą zdobycz ochmistrzyni, która z wielką uciechą ją przyjęła. Kazała jej Leonora iść otworzyć drzwi śpiewakowi i do korytarza następnie go sprowadzić, sama bowiem nie śmiała odejść, w obawie aby się Carrizales znienacka nie obudził. Przedewszystkiem jednak poleciła jej, aby kazała Loaysie powtórzyć przysięgę, którą poprzedniej nocy złożył, że nic nie uczyni ponad to, co one mu rozkażą i, w razie gdyby przysięgi nie chciał ponowić, aby mu pod żadnym pozorem drzwi nie otwierała.

— Będzie, jak chcesz, pani, — rzekła ochmistrzyni; — klnę się na Boga, że nie wejdzie tutaj, dopóki nie złoży dwukrotnej przysięgi i sześć razy nie ucałuje krzyża.

— Taksy mu nie wyznaczaj, — przerwała Leonora, — niech jeno krzyż ucałuje, a ile razy, to już jemu samemu pozostaw. Ale uważaj, aby przysiągł na głowę swych rodziców i na wszystko, co ma najdroższego na świecie, gdyż w ten sposób będziemy mogły przyjąć go tu bez trwogi i napawać się dowoli jego muzyką i śpiewem; a klnę się na zbawienie swej duszy, że gra i śpiewa umiejętnie. Idź tedy i nie zwlekaj dłużej, bo nie trzeba, aby nam noc zeszła na tych rozmowach.

Poczciwa ochmistrzyni zakasała sukni i z niesłychanym wdziękiem zbiegła do galerji, gdzie czekały na nią wszystkie mieszkanki domu.

Gdy im pokazała przyniesiony klucz, taka je radość ogarnęła, że podniosły ją w górę na rękach, niby profesora, wołając: „Niech żyje! niech żyje!“ Zadowolenie ich wzmogło się jeszcze, gdy im powiedziała, że nie trzeba było podrabiać klucza, skoro bowiem stary, maścią posmarowany, spał tak twardo, mogły rozporządzać domem za każdym razem, gdy im się to spodoba.

— Dalejże więc, moja miła, — rzekła jedna z pokojówek; — niech te drzwi się roztworzą i niech ten pan wejdzie do nas, gdyż dobrą chwilę już czeka; my zaś uraczmy się muzyką dowoli i wszelkiej zbądźmy troski.

— Jedna jeszcze troska nam pozostaje — odparła ochmistrzyni, — gdyż podobnie, jak wczorajszej nocy, odebrać mamy od niego przysięgę.

— Wszakże on jest tak poczciwy, — ozwała się jedna z pokojówek, — że nie będzie zważał na przysięgi.

Wtem ochmistrzyni otworzyła drzwi i pozostawiając je zlekka odemknięte zawołała na Loaysę. Ten, poprzez otwór w ścianie słyszał całą rozmowę i zbliżywszy się do drzwi, chciał wejść odrazu; ale ochmistrzyni, kładąc mu rękę na ramieniu, tak doń przemówiła:

— Musisz Waszmość wiedzieć, panie łaskawy, że wszystkie, które w tym domu mieszkamy, za wyjątkiem pani naszej, jesteśmy dziewicami, jak nas matki na świat wydały, a Boga i własne sumienie wzywam na świadków, że prawdę mówię; i ja sama, choć pomyśleć kto może, że cztery krzyżyki sobie liczę, gdy trzydziestu lat jeszcze nie skończyłam, bo mi dwa i pół miesiąca do nich brakuje, również jestem dziewicą— obym nie wyrzekła tego w złą godzinę... A jeśli starą być się zdaję, wiedz Waszmość, że trudy, troski i rozczarowania do lat człowieka dodają nieraz zero z prawej strony i dwa nawet, gdy im przyjdzie po temu ochota. Skoro jest, jak mówię, byłoby to z naszej strony szaleństwem, gdybyśmy wzamian za dwie, trzy, lub cztery pieśni narażać się miały na utracenie takich skarbów dziewictwa, jakie tutaj się kryją; nawet murzynka bowiem, której na imię Guiomar, jest dziewicą. Musisz Waszmość przeto, panie mój serdeczny, zanim pozwolimy ci wejść do naszego królestwa, złożyć uroczystą przysięgę, że nic nie będziesz czynił ponad to, co ci rozkażemy, a jeśli żądanie nasze zda ci się być nazbyt wygórowane, pomyśl, że my się znacznie więcej jeszcze narażamy. Zresztą, jeśli przychodzisz Waszmość do nas w dobrych zamiarach, przysięga taka nie będzie ci ciężarem, gdyż dobrego płatnika o fanty głowa nie boli. (d. c. n.)

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

CO MOŻNA ZROBIĆ Z POKRZYWY.

(Dokończenie).

Łodygi i liście pokrzywy pokryte są t. zw. włoskami parzącymi, t. j. włosistymi gruczołkami, złożonymi z wydłużonych komórek, których ostre końce są skrzemieniałe. Gdy się pokrzywy dotykamy, ostre te końce włosków ranią nasze ciało i odłamują się, a do rany dostaje się sok z włoska, sprawiający owe wrażenie sparzenia, sok ten bowiem zawiera w sobie kwas mrówkowy (wydzielany także przez mrówki); takie sparzenie się gatunkami pokrzywy krajowej nie wywiera żadnego na nasz organizm szkodliwego skutku. W dawnych czasach panował nawet w niektórych miejscowościach kraju naszego zwyczaj, iż szlachta kazała się na czczo biczować pokrzywami dla przyspieszenia obiegu krwi.



Rys.1.

Rys. 2 przedstawia w powiększeniu około 350-krotnem rozmaitej postaci komórki i włókna, znajdujące się w łodydze pokrzywy. Włókna są długie i bądź zupełnie płaskie, silnie przypominające włókna z bawełny, bądź w przekroju eliptyczne, okrągłe i t. p. Końce włókien są rozszerzone i wgłębione łyżeczkowato (e), co zdaje się być cechą bardzo swoistą włókien pokrzywowych, gdyż włókna innych roślin, nawet bardzo pokrewnych pokrzywie, takiego zakończenia nie posiadają. Poza tem włókna pokrzywy są same przez się giętkie i gładkie, a bardzo mało zdrzewniałe, w każdem razie mniej zdrzewniałe od włókien konopi, juty i t. p. komórek łyka, jakkolwiek następnie sztuczne ich zmiękczenie w przędzy i tkaninie jest, jak powiedzieliśmy powyżej, tak trudne. Włókna pokrzywy posiadają nawet w roślinie piękny połysk jedwabisty i jak zaznaczyliśmy, wysoką wytrzymałość, znaczniejszą nawet od wytrzymałości włókien konopi.

Metoda Kreissla i Sieberta w Wiedniu otrzymywania włókien pokrzywy, pozbawionych kleistych i innych ubocznych substancji, zabezpieczona licznymi patentami, a wypróbowana wielokrotnie w ciągu 3 lat ostatnich, jest w zasadzie bardzo prosta, zbliżona do sposobów otrzymywania włókien lnianych i nie kosztowna. Tą meto-



Rys. 2.

dą otrzymywane są dobre, miękkie i bielone włókna w ciągu 8 do 10 godzin, cena ich wypada niższa od cen bawełny. Sprzęt pokrzywy odbywa się dwa razy do roku, w końcu czerwca i w końcu września, poczem plon pozostawia się do wysuszenia na polu w ciągu 2 do 4 dni; tak wysuszona pokrzywa traci zdolność oparzania ciała, tak że wszelkie dalsze czynności z nią



Rys. 3.

można bez obawy dokonywać ręcznie. Czochrzenie i międlenie odbywa się, jak przy obróbce lnu. Rozdzielanie włókien osiąga się przy pomocy kilkakrotnego gotowania łodyg w rozcieńczonym ługu sodowym pod ciśnieniem z początku 15, a następnie 10 atmosfer. Bielenie wykonywa się przy pomocy podchloronu sodowego. Przy

czesaniu i przędzeniu posiłkują się takimi sposobami, jakie bywają stosowane do lnu. W szczegóły techniczne tych czynności, rzecz jasna, w piśmie naszem wdawać się nie możemy. Gotowe włókna mają około 25 do 30 centym. długości i około 0,05 milim. szerokości. Wydajność wynosi 13% czystych, bielonych włókien w stosunku do pozbawionych gałęzi i liści zielonych łodyg pokrzywy. Z włókien tych daje się łatwo otrzymywać przędza i tkaniny, nadające się do wyrobów trykotażowych, wstęg, tasiem, pasmanterji, różnych materjałów na odzież, meble, kołdry, dywany i t. p., a nadto dają się one mieszać z przędzą lnu, konopi, jedwabiu w tkaninach adamaszkowych, w których wywołać za ich pomocą można nawet piękne efekty ze względu na ów jedwabisty połysk włókien pokrzywowych. Rys. 3 przedstawia różne stopnie obróbki tych włókien.

Ważnem jest również i to, że odpadające przy obróbce pokrzywy gałęzie i liście, znajdują zastosowanie jako pasza dla bydła, które, jak wiadomo, chętnie się pokrzywą karmi. Drzewiaste części łodyg mogą przytem znaleść zastosowanie w papiernictwie, substancje gumowate i żywiczne zaś dają się łatwo wydobyć z ługu sodowego i znaleźć również zastosowanie. Wreszcie i odpadki fabrykacji w postaci zbyt krótkich włókien dają się użyć, jak podobneż odpadki bawełniane, do wyrobu waty, do wyrobu wełny strzelniczej, co wszystko niewątpliwie znacznie obniży jeszcze cenę wyrobów z pokrzywy.

Z tych powodów pożytecznem byłoby może, aby i nasi technicy przemysłu przędzalniczego zwrócili baczniejszą niż dotąd uwagę na tak bardzo dotychczas poniewieraną, bezpretensjonalną naszą pokrzywę.

M. Heilpern.

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Wyrób ołówków.

W roku 1794, gdy wskutek wojny nie można było sprowadzac do Francji ołówków angielskich z grafitu piłowanego, komitet bezpieczeństwa publicznego, idąc za wskazówką szkoły Górniczej, polecił inżynierowi Contému „zaopatrzenie kraju w ołówki“. Ponieważ nie można było nawet marzyć o otrzymaniu we Francji grafitu ścisłego w rodzaju tego, jakiego dostarczała Anglja, przeto Conté rozwiązał zagadnienie w ten sposób, że zaczął mieszać sadze lub grafit z gliną i tą drogą wynalazł w r. 1795 ołówki sztuczne, które uczyniły imię jego sławnem. Wyrobem tym, który prowadził potem zięć Conté'go, Humblot, zajmują się dziś jeszcze wnukowie wynalazcy w Regny, w departamencie Loary. Pierwsze atoli miejsce w tej gałęzi przemysłu, będącej pochodzenia francuskiego, zajęło Towarzystwo Johanna Fabera w Norymberdze, która produkuje rocznie 100 miljonow ołówków. Fabrykacja rozkłada się na cztery czynności:

1) przygotowanie masy,
2) wyrób powłoki.
3) montaż,
4) wykończenie.

Grafit, używany w Norymberdze, pochodzi przeważnie z Czech, w mniejszej zaś ilości z Syberji. Przedewszystkiem musi być oczyszczony przez rozcieranie z wodą, poczem zlewa go się do kadzi, ogrzewanych parą. Odpławianie odbywa się w szeregu kubłów dekantacyjnych, w których części cięższe, a zarazem najmniej czyste opadają na dno. W ten sposób otrzymuje się różne gatunki grafitu, które, przechodząc przez filtr—prasy pozbywają się wody. Masy, wychodzące z filtr—prasy w stanie jeszcze wilgotnym miażdżone są w młynach, podobnych do zwykłych młynów służących do mielenia ziarna.

W tym to okresie dodaje się do grafitu gliny celem nadania mu spoistości i twardości.

Ciasto plastyczne, otrzymane z młyna, idzie do pras służących do wyciągania w druty. Pierwsza prasa usuwa pęcherzyki powietrza. Drugą prasę stanowi walec, w którym przesuwa się tłok, służący do przepychania masy grafitowej przez otworki wywiercone w rubinie lub szafirze, o przekroju cylindrycznym i pryzmatycznym. Laseczki wychodzące z tego przyrządu kraje się na kawałki, o długości, równej potrójnej długości ołówka i dopiero po wysuszeniu dzielili się je na trzy części. Następnie w naczyniu zamkniętem poddaje się je działaniu temperatury 1,500°, poczem następuje sprawdzenie twardości, której stopień można zmieniać przez rodzaj hartowania w waselinie, stearynie lub spermacecie, utrzymywanych w odpowiednio dobranej temperaturze.

Ołówki kolorowe, które zawsze są miękkie, otrzymuje się w podobny sposób, przez dodanie gumy braganckiej do hematytu, ultramaryny, do błękitu pruskiego lub do ochr rozmaitych. Ołówki kolorowe nie bywają hartowane.

Powłoki do ołówków wyrabiane są z drzewa cedrowego (cedr amerykański z Florydy) za pomocą półkolistych i dowcipnie pomyślanych narzędzi.

Zaczyna się od przygotowania deseczek o szerokości sześciu ołówków. Deseczki te przechodzą pomiędzy parą płytek opatrzonych ostrzami, które wyżłabiają w nich sześć rowków równoległych półokrągłych, półsześciokątnych lub czworokątnych w zależności od kształtu, jaki ma posiadać rdzeń ołówka.

Następnie gotowe laseczki grafitowe, powleczone gumą umieszcza się w tych rówkach pomiędzy parą desek. Po wysuszeniu, sześć pił półkolistych, rozcina cały pakiet takich deseczek, posklejanych po dwie, skutkiem czego otrzymuje się odpowiednią liczbę oddzielnych ołówków, którym szereg heblarek nadaje postać okrągłą, sześciokątną, lub inną.

Wykończenie polega na odpolerowaniu za pomocą pasów ruchomych szmerglowanych, na polakierowaniu, i wreszcie na odbiciu firmy i numeru.

Ryby egzotyczne.

Obserwowaliście już zapewne w szklanych akwarjach ryby, pochodzące z naszych rzek, i prawdopodobnie wzbudziły one w was nielada zainteresowanie. O ileż większe byłoby wasze zaciekawienie, gdybyście zobaczyli ryby egzotyczne! Nasze, pospolite ryby żyć mogą tylko w wodach płytkich, o temperaturze określonej. Jeżeli zaś temperatura jest wyższa po nad normę, występują u nich objawy uduszenia. Ryby wód naszych, jak wiadomo, w akwarjach wcale się nie rozmnażają, lub, conajwyżej bardzo rzadko. Wręcz coś innego dzieje się z rybami egzotycznemi. Wystarcza im w zupełności duże akwarjum, z wodą. której temperatura waha się od 20°—22° stopni Celsjusza. Niektóre mogą nawet przebywać w temperaturze pokojowej. Pokarm ich jest bardzo prosty i niewymyślny: nieco żwiru gruboziarnistego, trochę ziemi i niekiedy kilka much — jako przysmak. A wdzięczność ich za starania jakiemi się je otacza, przejawia się wspaniale. Oczarowują wasze oczy przepychem barw swej łuski— przepychem, który u pewnych gatunków wprost nie daje się opisać. Jest to niby paleta stubarwna: niebieski indygo, pomarańczowo - żółty, czerwony, fjoletowy, oślepiająco biały — wszystkie te kolory tworzą harmonijną gamę wraz z prążkami złotemi i srebrnemi. Odznaczają się one niesłychanie dziwacznymi kształtami. Wyglądają jak bajeczne potwory morskich głębin—jak piękne i niezwykłe istoty nie z tego świata. Różnorodność ich kształtów przechodzi wszelkie granice ludzkiej wyobraźni. Nie chce się wierzyć że to są—ryby.

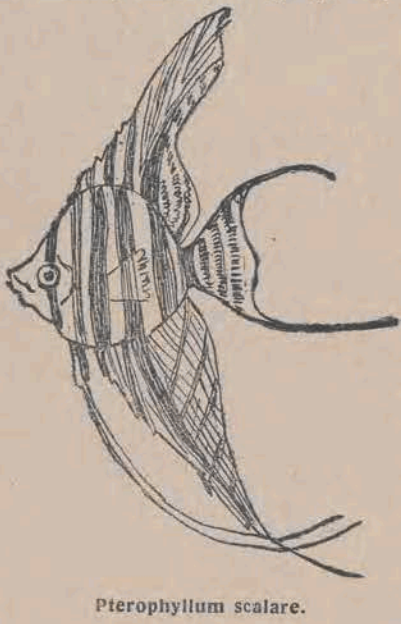
Wszystkie prawie trzymają się doskonale w akwarjach tam się rozmnażają. Szczególniej ciekawe dla początkującego hodowcy są gatunki *żyworodne*. Pewnego dnia spostrzegacie w akwarjum chmarę maleńkich rybek, zupełnie już rozwiniętych i mknących wzdłuż szklanych ścian, w poszukiwaniu pokarmu. Niektóre gatunki *jajorodne*, budują sobie gniazda, kształtu najczęściej kulistego, których średnica dochodzi niekiedy do 3 centymetrów. Kiedy gniazdo jest już skończone rozpoczyna się okres „zalotów". „Zakochany" samiec rozpoczyna krążyć wokół upragnionej. Łuska jego nabiera wówczas specjalnego połysku, barwy stają się intensywniejsze, ruchy płetw



Scacotophagus argus.

zręczne i błyskawiczne; w ten sposób zaprasza on samicę, do nowowybudowanego gniazda.

Ale po złożeniu jajek—sytuacja odrazu się zmienia. Jeszcze przed niedawnym czasem zakochany samiec staje się okrutnym tyranem; nie pozwala samicy wypłynąć z gniazda, strzegąc ją czujnie. Wychowaniem i obroną zarybka zajmuje się



Pterophyllum scalare.

samiec, aż do chwili, kiedy maleństwa zdołają opuścić gniazdo. Istnieją pewne gatunki, u których samiec zapobiegliwie troszczy się o zarybek przez wiele miesięcy.

W pewnem akwarjum znajdowały się ryby egzotyczne, gatunku Heros facetus. Samiec otoczony rojem młodych rybek bronił ich zażarcie. Kiedy wsuwano palec do akwarjum, samiec szczypał go boleśnie.

Ponieważ młode rybki nie mogą jeszcze połykać gruboziarnistego mułu, ojciec przeżuwa go uprzednio, poczem wypluwa przeżuty już żwir. Młode z łatwością połykają go wówczas. Mniej więcej dzieje się to samo, gdy się wrzuca do akwarjum surowe mięso. Niezwykle to zabawny widok, gdy maleństwa otaczają pyszczek ojca w oczekiwaniu na pokarm.

U gatunku Paratilapia multicolor, samica, po złożeniu jajeczek, bierze je w pyszczek, i trzyma je tam aż do wylęgnięcia... Ale młode rybki rosną i oto maleńkie główki wysuwają się z schronienia, które nie może ich pomieścić, ściśnięte w linji półokrągłej, i z ciekawością wyzierające na świat.

Istnieje nieskończona ilość gatunków ryb egzotycznych. Można je z łatwością obserwować, gdyż świetnie utrzymują się w zwykłych akwarjach i krążą tam—niby cisi, milczący mieszkańcy głębin morskich, którzy w niewoli zachowali całą swą niepowszednią bajeczną świetność i oryginalność.

Akustyka wielkich sal wobec głosu ludzkiego.

Powszechnie wiadomo, jak trudną jest rzeczą przewidzieć własności akustyczne sali; liczne z tego powodu niepowodzenia budowniczych są tego dowodem. Rzeczywiście, w sali, w której wytwarza się dźwięk ciągły, prawidłowy, do słuchacza dochodzić mogą trzy rodzaje drgań: 1) fala pierwotna, pochodząca wprost ze źródła; 2) fale rozproszone w liczbie nieskończonej, odsyłane przez ściany — wytwarzają one dźwięk rezonansowy; 3) fale odbite prawidłowo od ścian; one to wytwarzają echo zupełnie wyraźne. Aby sala przedstawiała dobre warunki pod względem akustycznym, trzeba, żeby nie było echa i żeby dźwięk rezonansowy trwał dość krótko, gdyż w takim razie będzie tylko wzmacniał dźwięk, który go wy-

tworzył. Uczony, p. Marage przeprowadził specjalne badania w tym przedmiocie. Badając dźwięk rezonansowy, p. M. używa syreny samogłoskowej. Tym sposobem zastępuje drganiami systematycznemi — głos naturalny, drganiami, których wysokość, natężenia i barwę można określić zupełnie dokładnie. Doświadczenia wykonane zostały nad sześciu rozmaitemi salami, czterema w Sorbonie, salą Akademji Medycznej i Trokadero. Zależnie od tego, czy dźwięk rezonansowy trwa krócej, lub dłużej, akustyka sali jest zła lub dobra. Najlepsze są amfiteatry Sorbony: dźwięk rezonansowy trwa w nich najdłużej 0,9 sekundy, dla wszelkich dźwięków. Akademja Medyczna przedstawia zjawisko szczególne: w rzeczy samej, obicia tej sali, do tego stopnia stłumiły dźwięk rezonansowy, który w chwili inauguracji był zbyt wielki, że obecnie trwa on zaledwie 0,4 sekundy. W ten sposób można określić warunki, w jakich winien postawić się mówca, aby go dobrze słyszano i rozumiano w sali, której akustyka jest wadliwa. Tak np. w Trokadero mówca powinien przemawiać bardzo powoli, oddzielając dokładnie wyrazy, nadto nigdy nie powinien wysilać głosu, i aby dać się usłyszeć 4,500 słuchaczom, nie powinien mówić głośniej, niż w amfiteatrze fizycznym w Sorbonie, który pomieścić może tylko 250 słuchaczów i zawiera 800 metrów sześciennych, zamiast 63,000 metrów sześciennych mieszczących się w sali Trokadero.

Przenoszenie mikrobów chorobotwórczych.

Bezwątpienia wpływ szkodliwy glist, pasorzytujących w naszych wnętrznościach, na nasz organizm znany był od najdawniejszych czasów. Dopiero jednak obecnie zrozumiano rzeczywisty ich udział w sprawie przenoszenia mikrobów chorobotwórczych. Pierwszy Miecznikow wpadł na tę myśl, lecz hypoteza jego początkowo nie zyskała najmniejszego poparcia. W ostatnich zaś czasach na mocy całego szeregu badań udowodniono jej trafność, gdyż sprawdzono, że glisty zaszczepiają bakterje chorobotwórcze w ścianki wnętrzności i w ten sposób powodują choroby.

Pasorzyty naszego organizmu w najrozmaitszy sposób zaszczepiają bakterje. Otóż niektóre nematody, przytwierdzające się bezpośrednio do ścianek wnętrzności, zaszczepiają bakterje bezpośrednio przenosząc je z powierzchni swego ciała. Inne, jak np. askanydy, nie posiadające tej zdolności, przegryzają błonę śluzową, powodują ranki, które wytwarzają podkład do zakażenia.

Nieco odmiennie zachowują się cestody: nie przegryzają błony śluzowej, lecz przytwierdzają do niej ssawki, wywołując energiczny dopływ krwi, a jednocześnie przenoszą z powierzchni swego ciała bakterje na miejsce przytwierdzenia ssawki. W danym razie można obserwować cichą i energiczną walkę leukocytów przeciwko inwazji bakterji.

Stwierdzono, że robaki, opatrzone ssawkami, nie tylko, że są pokryte na powierzchni całe bakterjami, lecz wewnątrz posiadają istną florę bakterjalną.

Rzecz widoczna, że niebezpieczeństwo wzrasta proporcjonalnie do ilości pasorzytów i do bogactwa flory bakterjalnej w ich wnętrzach. Są jednak wypadki, że egzemplarz pojedyńczy może spowodować śmiertelną chorobę.

Kilka uwag nad hygieną pokarmów.

P. F. M. Albahary podaje kilka uwag nad błędami jakie często popełniamy w życiu, w wyborze pokarmów.

Błędy te opierają się najczęściej na niesprawdzeniu obecności lub braku kwasu szczawiowego w pokarmach. Pomiędzy innymi błędy te robimy, używając herbaty, kakao i czekolady.

Analiza chemiczna nie mówi nam na korzyść tych napojów. Oto np. sucha herbata zawiera około 4 gramów kwasu szczawiowego na kilogram suchych liści. Wydaje się to ilością nieznaczną, jeżeli jednak spożywamy dzień w dzień sporą porcję herbaty, to w organizmie naszym zbiera się dużo kwasu, co szkodliwie oddziaływa na zdrowie. Jeżeli wątroba funkcjonuje prawidłowo, to kwas zostaje zniszczony i wydzielony nazewnątrz. W przeciwnym jednak razie wywołuje ciężkie komplikacje. Dlatego też chorzy na artretyzm, reumatyzm i t. p. powinni unikać używania herbaty.

Kakao powinno być zabronione tem surowiej, gdyż na kilogram proszku kakaowego wypada 5 gr. kwasu szczawiowego. Naogół zaś biorąc, ciężko chorym zalecają spożywanie tego pokarmu. Co do czekolady, to zawartość w niej kwasu szczawiowego zmniejsza się przez dodanie cukru do kakao. Jednakże nie ulega wątpliwości, że w niektórych razach używanie czekolady wywołuje zaburzenia żołądkowe, a co zatem idzie trudniejsze wydzielanie z organizmu tego kwasu.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy -40 k. Ogłoszenia na 3 str okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.